EPOKA

ROK V. Warszawa, 5 grudnia 1938 r. ROK V Nr 34 (137)

WIELKI HINDUS PRZECIWKO BARBARII

W poważnej opinii światowej wielkie wrażenie wywołał list otwarty Rabindranatha Tagore do poety japońskiego Yone Noguchi. Dzieło poetyckie Rabindranatha Tagore (urodzony w 1861 r. i wychowany po europejsku), stanowiące cenny wkład do literatury światowej, dzięki artystycznemu połączeniu ducha buddyjskich Indii ze zrozumieniem wartości moralnych chrześcijańskiego Zachodu, — i z tej racji odznaczone w 1913 r. przez najwyższą literacką instancję międzynarodową nagrodą Nobla — od wielu lat jest częściowo znane w Polsce.

Z liryki, dramatów, epiki i pism religijno-filozoficznych Rabindranatha Tagore, tworzonych przeważnie w języku bengalskim, przełożono dotąd: „Gitanjali" (Ogrodnik),, „Owocobranie" (tłumaczył Leopold Staff), „Sadhana". Jeden z jego dramatów był grany na scenie Teatru Narodowego w Warszawie.

W swym liście otwartym Rabindranath Tagore oświetla obecny konflikt chińsko-japoński pod kątem duchowego kryzysu dzisiejszej Europy i Azji, co uwagom jego nadaje szczególne znaczenie. List ten, przepełniony szlachetną troską wielkiego poety i myśliciela o przyszłość człowieka, w dosłownym brzmieniu przytaczamy poniżej, w wybornym przekładzie Wacława Rogowicza.

Do Yone Noguchi, w Tokio.

Drogi Noguchi.

List Pański głęboko mnie zdumiał. Ani jego charakter, ani treść nie harmonizują z duchem Japonii, którego nauczyłem się podziwiać w Pańskich pismach i pokochałem go dzięki mym osobistym stosunkom z Panem.

Smutno się robi, gdy się pomyśli, że pasja powszechnego militaryzmu może, przy sposobności, opętać nawet artystę-twórcę, że istotna potęga intelektualna może być doprowadzona do poświęcenia swej godności i własnej prawdy na ołtarzu posępnych bóstw wojny.

Zdaje się Pan zgadzać ze mną w swym potępieniu zmasakrowania Etiopii przez faszystowskie Włochy; ale mordercze ataki przeciw milionom Chińczyków sądzi Pan pod innym kątem widzenia. Prawdę mówiąc, sądy winny się opierać na zasadach, i żadna specjalna obrona nie może zmienić faktu, że, narzucając okrutną wojnę Chinom, z zastosowaniem morderczych metod Zachodu, Japonia łamie wszelkie prawa moralne, na jakich spoczywa cywilizacja. Twierdzi Pan, że Japonia jest w wyjątkowym położeniu, zapominając, iż mówi się tak zawsze w każdej wojnie. Bogobojni sprawcy wojny, w przekonaniu, że ich okrucieństwa wymagają szczególnego usprawiedliwienia, nie omieszkiwali nigdy zawierać sojuszów z bóstwem, aby sobie pozwolić na masowe tępienie i zadawanie męczarni.

Ludzkość, mimo swych licznych upadków, wierzyła zawsze w podstawową strukturę moralną społeczeństwa. Mówi Pan o *środkach straszliwych lecz nieuniknionych*, koniecznych do zbudowania nowego świata na kontynencie azjatyckim (co, przypuszczam, ma znaczyć, że bombardowanie chińskich kobiet i dzieci, burzenie chińskich świątyń i uniwersytetów jest środkiem zachowania Chin dla Azji).

Kreśli Pan dla ludzkości linię postępowania, która nie jest nieunikniona nawet u zwierząt i nie przystoi Wschodowi, jakiekolwiek byłyby jego zamroczenia, chwilowo. Pańska koncepcja jest koncepcją Azji, dźwigniętej na stosach trupich czaszek.

Wierzyłem, jak to Pan słusznie podkreśla, w „Posłannictwo Azji"; ale nie śniłem nigdy, aby to posłannictwo zostało utożsamione z czynami podobnymi do tych, jakie rozpalały serce Tamerlana w jego rzeziach.

Kiedy, podczas mych odczytów w Japonii, protestowałem przeciw *upodobnianiu się do Zachodu*, czyniłem to, porównywując żarłoczny imperializm pewnych *narodów* europejskich z ideałem doskonałości głoszonym przez Buddę i Chrystusa, i z dziedzictwem kultury i braterstwa, które zrodziło cywilizacje, azjatyckie i inne.

Czułem, że jest moim obowiązkiem ostrzec kraj Bushido, sztuki, tradycyj bohaterskich, przed naukowo traktowanym zdziczeniem, którego Zachód jest ofiarą; tego co doprowadziło jego bezsilne masy do moralnego ludożerstwa, nie powinien był naśladować naród krzepki i dzielny, w pełni odrodzenia i mający przed sobą piękną przyszłość.

Doktryna *Azja dla azjatów*, którą Pan wychwala w swym liście jako środek szantażu politycznego, ma wszelkie cechy tego co jest najmniej dobre w Europie i tego, co ja odrzucam, lecz nie posiada żadnej z zalet właściwych pojęciu lepszej ludzkości, którąby zjednoczyła ludy ponad miedzami waśni politycznych.

Uśmiechnąłem się, czytając twierdzenie pewnego tokijskiego polityka: *Sojusz wojskowy Japonii z Włochami i z Niemcami ma przyczyny wysokiej duchowej i moralnej natury, nie kryjące w sobie żadnych celów materialnych*. Doskonale! Komiczny jednak jest widok, gdy artyści i myśliciele przyjmują za swoje te znamienne uczucia, maskujące fanfaronadę militarną przechwałkami spirytualistycznymi.

Nawet w krytycznych momentach obłędu wojennego, są zawsze, na Zachodzie wielkie umysły, wznoszące głos ponad wrzawę krwawych zapasów i, w imię ludzkości, stawiające czoło tym, co z wojny ciągną korzyści: ci ludzie cierpieli, ale nie zdradzili nigdy sumienia ludów, które reprezentowali.

Azja nie *upodobni się do Zachodu*, idąc za przewodem takich mężów.

Wierzę jeszcze, iż są w Japonii takie dusze; ale prasa, skazana na zagładę, jeśli nie naśladuje głosów dowódców wojskowych, nie zaznacza ich istnienia.

Zdrada intelektualistów, o której mówił wybitny pisarz francuski po wojnie europejskiej*), jest jednym z najniebezpieczniejszych objawów naszych czasów.

Mówi Pan o groszu, oszczędzanym przez biednych Japończyków, o ich milczących ofiarach i o wszystkich ich cierpieniach, i czerpie Pan uczucie dumy z faktu, że te wzniosłe poświęcenia służą do najazdu na sąsiedni naród i do bombardowania jego ognisk rodzinnych.

Wiem, że propaganda stała się sztuką, i że wskutek tego dla krajów nie demokratycznych jest prawie niemożliwe opieranie się dawkom trucizny, zastrzykiwanej im co godzina; ale można się było spodziewać, że przynajmniej oni, „intelektualiści", zachowają swą niezależność. Nic podobnego; poza sfałszowanymi argumentami kryje się zwyrodniały nacjonalizm, który nakazuje dzisiejszym „intelektualistom" chełpić się swymi „ideologiami" i zmusza masy, stosując przemoc, do kroczenia ku śmierci.

*) Julian Benda: „Zdrada klerków". *Przyp. Red.*

Poznałem dobrze wasz naród i nie mogę uwierzyć, by rozmyślnie brał udział w zorganizowanym zatruwaniu: odurza się mężczyzn i kobiety chińskie za pomocą opium i heroiny; wasz lud tego nie zna.

Tymczasem, przedstawiciele kultury japońskiej w Chinach przedsięwzięli to zadanie i spełniają je, kosztem tych wszystkich, co stają się pastwą tej rozległej organizacji ludzkiego upadku.

Dowodów tego przymusowego zatruwania w Mandżukuo i w Chinach dostarczyły świadectwa nieodparte.

Nie podniósł się w Japonii żaden głos protestu, nawet głos poetów.

Biorąc pod uwagę poziom umysłowy waszych intelektualistów, nie dziwię się, że wasz rząd pozwala im wypowiadać się *swobodnie!* Spodziewam się, że rozkoszują się swą swobodą.

Wyrzekać się tej *swobody, zamykać się w ślimaczej skorupie* i tam lubować się ekstazą rozmyślań nad *pełną nadziei przyszłością* nie wydaje mi się konieczne, mimo takiej rady, dawanej przez Pana artystom japońskim.

Nie mogę uznać takiego oddzielania działalności artysty od jego sumienia.

Inny objaw zdrady intelektualistów: ów luksus specjalnego faworyzowania, pod warunkiem utożsamienia się z rządem niszczącym u sąsiedniego narodu wszystkie życiowe podstawy.

Niestety, reszta świata jest tchórzliwa i nie śmie wydawać sądu, z powodu okropnych możliwości, jakie okrywają jego własną przyszłość i jej grożą; pozwala się szkodnikom kalać dowoli dzieje, hańbiąc jednocześnie własne dobre imię na wieki.

Ale na dłuższy przeciąg czasu, taka bezkarność staje się wstępem do katastrofy; zaniedbywana choroba czyni, bez bólu, stopniowe, niszczące postępy.

Z głębokim smutkiem zwracam się do waszego narodu.

Pański list dotknął mnie w samej głębi mej istoty.

Wiem, że kiedyś rozczarowanie waszego ludu będzie zupełne; potrzeba mu będzie wieków mozołu, by wymieść szczątki cywilizacji zniszczonej przez jego oszalałych panów wojny.

Zrozumie wówczas, że temu napadowi na Chiny towarzyszy zniszczenie ducha rycerskiego Japonii, zniszczenie postępujące naprzód z okrutną gwałtownością.

Chiny są *nie do zwyciężenia!* Ich cywilizacja, pod ochroną nieustraszonego Cziang-Kai-Szeka, rozwija zasoby nadzwyczajne; dzięki rozpaczliwej wierności ich mieszkańców, zjednoczonych jak nigdy jeszcze dotąd nie byli, nowa era powstaje w Chinach.

Pochwycone, bez przygotowania, w tryby olbrzymiej machiny wojennej, Chiny trzymają się.

Żadna chwilowa klęska nigdy nie zdoła zmóc ich duszy, zbudzonej w pełni.

Wobec japońskiej wiedzy militarnej, wulgarnie „zachodniej" w swym charakterze, postawa Chin ujawnia wyższy stan moralny.

Bardziej niż kiedykolwiek rozumiem dzisiaj entuzjazm myśliciela japońskiego o wielkim sercu, Okakura Kakuzo (autora *Ideałów Wschodu* i *Herbacianej Księgi),* gdy zapewniał mnie: „Chiny mają wielką duszę".

Nie zdajecie sobie sprawy, że podnosicie wartość swych sąsiadów, z własnym uszczerbkiem. Ale to są rozważania innej kategorii: pozostaje nam bolesna świadomość, iż Japonia, jak to napisała pani Cziang-Kai-Szek w *The Spectator* (musiał Pan czytać jej słowa), stwarza niezliczone „widma": widma odwiecznych dzieł sztuki chińskiej, widma niezastąpionych instytucyj chińskich i widma wielkich, spokojnych zbiorowisk ludzkich, zatrutych, zamęczonych i zniszczonych.

Kto rozproszy te widma? — zapytuje pani Cziang-Kai-Szek.

Naród japoński i naród chiński, miejmy nadzieję, pójdą ręka w rękę w niedalekiej przyszłości, odsuwając od siebie te wszystkie wspomnienia tak gorzkiej przeszłości. Prawdziwa ludzkość azjatycka odrodzi się.

Wznosząc swój głos, poeci, wierzymy, nie będą się już wstydzili znowu wyznawać swą wiarę w ludzkie przeznaczenie, które nie może się pogodzić z naukową masową produkcją tych walk bratobójczych.

RABINDRANATH TAGORE

„Uttarayan". Santinikotan (Bengal).

P. S. Widzę, że Pan już upoważnił prasę do ogłoszenia listu, który Pan do mnie wystosował; rozumiem tedy, że chce Pan, abym ja również opublikował swoją odpowiedź.

Dekada polityczna

Sisal a pacyfikacja

Przyjaciele p. Chamberlaina, którzy ostatnio zwątpili o jego geniuszu, opowiadają o nim następującą, podobno autentyczną, anegdotę.

Kiedy Mr. Neville był jeszcze młodzieńcem, rozpoczynającym dopiero swą drogę życiową, ojciec jego, wielki Joe Chamberlain, założyciel dynastii chamberlainowskiej i twórca nowoczesnej brytyjskiej myśli imperialnej, wysłał go „na praktykę" na Antyle. Dał mu tysiąc murzynów, rozległe tereny plantacyjne i odpowiednią sumę gotówki i kazał mu rozbudować tam plantacje. Neville Chamberlain wybrał uprawę sisalu, rośliny, dającej włókno, podobnej do naszych konopi. Pięć lat uprawiał Mr. Neville sisal na Antylach w pocie czoła tysiąca murzynów i sporym kosztem ojcowskiej kasy. Aż wreszcie, po pięciu latach, stwierdził, że tereny, na których pracował, nie nadają się wcale pod uprawę sisalu. Stwierdził to, co można było stwierdzić od pierwszej chwili drogą zwyczajnej geologicznej analizy.

Ten sisalowy eksperyment sprawił podobno, że ojciec Joe skierował do polityki drugiego syna Austina, pozostawiając Neville'owi zarząd fabryk w Birmingham. Pech chciał, że Austin umarł przed kilku laty i Neville mimo wszystko zawędrował do polityki. Ludzie mówią, że teraz znowu uprawia on sisal pacyfikacji na twardej, nieurodzajnej glebie państw totalnych.

Atak na Chamberlaina trwa.

Ale lud angielski nie ma dla p. Chamberlaina ani niewolniczego posłuszeństwa tysiąca murzynów, ani ojcowskiej czułości „wielkiego Joe". Nie chce czekać przez pięć lat.

„Daily Express", organ lorda Beaverbrooka, jednego z najwierniejszych zwolenników Chamberlaina, tak gorzko skarży się na zmianę nastroju: „Czy pozycja Chamberlaina zaczyna się kruszyć? Niewątpliwie, opinia publiczna mniej dziś podtrzymuje premiera i jego politykę, niż przed miesiącem. Byłoby szaleństwem twierdzić co innego. W okresie Monachium witaliśmy Chamberlaina jako wielkiego męża stanu. Entuzjazmowaliśmy się nim jako człowiekiem i jego dziełem. Było w tym nawet coś histerycznego. Teraz z tym samym niemal histerycznym zapałem pragniemy uniknąć tej pacyfikacji, za którą tak tęskniliśmy przed sześciu tygodniami".

Otrzeźwienie obejmuje bardzo szerokie kręgi. Taki lord Lothian n. p. znany ze swego germanofilstwa, zastanawia się obecnie w serii artykułów nad problemem, czy Niemcy zadowolą się dotychczasowymi sukcesami, i dochodzi do następującego wniosku: „Nie będzie nowych kryzysów międzynarodowych, jeśli mocarstwa demokratyczne zdadzą sobie na czas sprawę z powagi zagadnienia i poczynią zawczasu wszystkie kroki, zastosują wszystkie środki ostrożności, albowiem mocarstwa demokratyczne posiadają nadal w swych rękach przewagę środków materialnych i główne pozycje strategiczne „Innymi słowy, Niemcy usiądą cicho, jak będą wiedziały, że hałasowanie może je zbyt drogo kosztować.

Jeśli tak mówi germanofil Lothian, to inne grupy obozu konserwatywnego mówią o wiele dobitniej. Np. Rada Organizacji konserwatywnej okręgu West-Essex, reprezentowanego w Izbie Gmin przez Churchilla, powzięła rezolucję, kończącą się słowami: „Wzywamy Mr. Churchilla, by prowadził nadal swą pracę dla wzmocnienia jedności narodowej i wzmocnienia zbrojeń brytyjskich, wierząc głęboko, że jest to najpewniejszy fundament dla tego stałego pokoju, do którego wszyscy dążymy".

Zwolennicy Chamberlaina mają na to jedną odpowiedź: „Ciszej"! Taki „Ti-

mes" np. pisze z kwaśną miną: „Parlament powinien poświęcić swój czas nie tylko sprawom polityki zagranicznej i dozbrojenia". Jeden zaś z wielkich magnatów przemysłowych Anglii, chamberlainista lord Nuffield, ogłasza otwarty list w którym wzywa opozycję i niezadowolnych konserwatystów do zaprzestania krytyki premiera.

Oczywiście opozycja ani myśli słuchać. Przeciwnie, właśnie teraz Labour Party wspólnie z Partią Kooperatywną (organizacja polityczna spółdzielców brytyjskich, wchodząca w skład Labour Party) podejmuje wielką kampanię wieców i zgromadzeń, poświęconą specjalnie walce przeciw polityce zagranicznej premiera. Wybory uzupełniające w Lewisham, gdzie kandydat konserwatywny utrzymał wprawdzie mandat, ale stracił bardzo pokaźną liczbę głosów, stanowią jeszcze jeden dowód, że już dzisiaj pozycja premiera w opinii publicznej Anglii osłabła bardzo mocno.

Lud francuski w walce. W chwili, gdy piszemy te słowa, Francja jest już po strajku generalnym. P. Daladier spróbował okazać, wobec własnej stolicy tę odwagę, zdecydowanie i wolę czynu, której brak mu było w czasie kryzysu letniego wobec zagranicznego przeciwnika. Zwykła rzeczy kolej: pobici przez wroga generałowie usiłują zyskać nowe laury na własnym ludzie.

Czy sprzeciw mas ludowych będzie dość potężny, by zdławić w zarodku próbę faszyzacji Francji? Czy uda się zjednoczonym rzeszom robotniczym przekonać o słuszności swej sprawy chłopów i drobnomieszczan, stanowiących bazę, na której opiera się partia radykalna? Czy bliska już sesja parlamentu przyniesie obalenie rządu, który po kapitulacji przed faszyzmem w polityce zagranicznej, realizuje dziś żądania faszyzmu w polityce wewnętrznej kraju?

Od odpowiedzi na to pytanie zależy więcej niż los samej tylko Francji.

Nowy policzek dla p. Frandina P. Flandin, po policzku fizycznym, wymierzonym mu przez młodego prawicowca francuskiego przed grobem Nieznanego Żołnierza, otrzymał obecnie nowy policzek, moralny policzek, tym dotkliwszy, że wymierzony ze strony zgoła niespodziewanej: przez Anglików.

P. Flandin jest prezesem Komitetu Brytyjsko - Francuskiego paryskiej Izby Deputowanych. W tej roli miał on obecnie udać się do Londynu, z rewizytą za zeszłoroczne odwiedziny parlamentarzystów brytyjskich. Ale oto taki sam komitet londyński Izby Gmin zawiadomił p. Flandina, że wizyta jego w chwili obecnej, ze względu na serię zaszłych ostatnio wypadków, jest niewskazana. Gen. Spears, prezes tego komitetu miał nadto wystosować jeszcze list osobisty, wyjaśniający w pewnym stopniu motywy odmowy. Telegram gratulacyjny Flandina do kanclerza Hitlera oddziałał, podobno, niezwykle mocno na treść tych motywów.

Jawny hitlerofil, p. Flandin, bierze cięgi ze wszystkich stron. Pozostają jednak — o tym nie wolno zapominać — hitlerofile ukryci...

Wizyta bez rezultatu... Burza szalała na kanale de la Manche , kiedy premier Chamberlain udawał się z wizytą do Paryża. Niezły to symbol sytuacji, w jakiej odbywały się narady francusko - brytyjskie.

Paryż przywitał Chamberlaina — kordonami policjantów. Mieli oni sporo do roboty, bowiem znaczna część Paryżan witała premiera okrzykami „Precz z Monachium!" „Latający anioł pokoju" przyczynił się do wzmocnienia obsady paryskich aresztów policyjnych...

O ile można się zorientować z informacji prasowych, wyniki konferencji, poza zwykłą wymianą serdeczności, są równe zeru. Francuzi zażądali, na wypadek wojny. wydatniejszej pomocy angielskiej, mogącej im zrekompensować stratę kilkudziesięciu dywizji czechosłowackich. P. Chamberlain przyrzekł... zastanowić się nad ich propozycją. Pewne szczegóły natury techniczno - wojskowej, uzgodnione podczas wizyty, mogły być uzgodnione bez tak wielkiego nakładu pompy i energii.

I deklaracja bez wartości... Przygotowana na spotkanie brytyjsko - francuskie ‚bomba" p. Bonneta : zapowiedź deklaracji niemiecko - francuskiej również nie przedstawia zbyt wielkiej wartości. „Nie można zaczynać budowania domu od zakładania dachu. Żaden z istotnych problemów nie został bodaj postawiony" — pisze prawicowa **„Neue Zürcher Zeitung"**. Co ciekawsze, nawet organ trustów francuskich i prezesa Towarzystwa Francusko - Niemieckiego, p. de Brinon, paryska „L'Information" zachowuje pewną rezerwę. „Kilka już paktów, zawierających klauzulę nie-agresji i wzajemnego poszanowania, zostało zawartych w przeszłości, ale nie spełniło nadziei, jakie z nimi wiązano" — zauważa ona smętnie, przypominając przy tym umowę austriacko - niemiecką i czesko-niemiecką.

Oczywiście, deklaracja może posiadać pewne znaczenie, jeśli, mimo wyraźnej klauzuli, zastrzegającej dalszą ważność wschodnich sojuszów Francji, równocześnie doszło do pewnych, tajnych porozumień, odpowiadających sformułowaniu organu p. Chamberlaina, londyńskich „Times", że Francja przestała już mieć jakiekolwiek zobowiązania na Wschodzie. Zwraca uwagę na taką możliwość p. St. St. w „Kurierze Warszawskim"... Ale, zdaje się, że porozumienia te, jeśli nawet istnieją, nie mają charakteru wiążącego następne, po p. Daladierze, rządy francuskie.

A to znaczy, że znaczenie deklaracji na razie sprowadza się do jednego: dostarczenie p. Daladierowi jeszcze jednego pretekstu od kurczowego trzymania się władzy.

W tym samym czasie „parlament" włoski demonstruje pod hasłem: Tunis, Korsyka, Sabaudia i Nicea...

Zawiedziony Franco. Jednego nie osiągnął Chamberlain w Paryżu: uznania gen. Franco za stronę wojującą. A przecież niedawno jeszcze mówiono, że jest to rzecz postanowiona. Zdaje się zaważyło w tej sprawie stanowisko sztabu francuskiego. obcego wprawdzie ideologicznym założeniom obozu republikańskiego, ale rozumiejącego doskonale, co znaczą lotniska w rękach Reichswehry wzdłuż granicy pirenejskiej.

Ciekawe, że w związku z ostatnimi wypadkami nawet koła staro-endeckie zaczynają nieco zmieniać swe stanowisko w sprawie hiszpańskiej. Tak n. p. „Kurier Warszawski" pisze piórem p. Z. Ł.: „Niezależnie od takiej czy innej ideowej postawy wobec stron walczących w wojnie domowej w Hiszpanii, dla Francji taka likwidacja tej wojny, do jakiej obecnie najwidoczniej prze Chamberlain (t. j. pełne zwycięstwo Franco) przedstawia się jako niezmiernie groźna i poważna.Choćby bowiem nawet mocarstwa rządzone autorytatywnie nie miały żadnych ambicji terytorialnych w Hiszpanii, wpływy ich po zwycięstwie jen. Franco... byłyby tak potężne, iż sytuacja Francji na tym odcinku musiałaby przedstawiać się bardzo groźnie".

Zdecydował jednak bodaj — nacisk mas. Mas nie tylko francuskich, ale i angielskich. Od wielu dni rząd angielski bombardowany jest wprost rezolucjami ze wszystkich stron, protestującymi przeciw temu nowemu uprzywilejowaniu gen. Franco. Już w chwili, gdy premier był w Paryżu, Rada Naczelna Trade Unionów wysłała doń telegram z niezwykle ostrym protestem. W takiej sytuacji Chamberlain nie mógł zbyt mocno naciskać a stanowisko francuskie przeważyło.

Drugie Niemcy. Jak doniosła prasa zagraniczna stary von Rath, ojciec sekretarza ambasady niemieckiej w Paryżu, zastrzelonego przez Grynszpana, miał powie-

dzieć kanclerzowi Hitlerowi w czasie poby trumna jego dziecka stała się trybuną propagandy nienawiści i pomsty. Jeśli te informacje są prawdziwe, to stary junkier pruski postąpił podobnie jak matka demokratycznego polityka niemieckiego, Żyda z pochodzenia, Rathenau'a, zamordowanego jeszcze za czasów republiki weimarskiej przez nacjonalistycznego spiskowca. I ona wtedy napisała do matki mordercy list ze słowami przebaczenia i współczucia.

Kłamstwo! — oświadczają oczywiście organy hitlerowskie. Brudne emigranckie wymysły! Naród niemiecki w pełni solidaryzuje się z polityką swych władców, co więcej, samorzutnie nawet reaguje tak, jak oni by sobie życzyli. Świadczy o tym łuna pożarów spontanicznie zapalonych synagog niemieckich i nie mniej spontanicznie wybitych szyb w pałacach kardynałów Faulhabera i Innitzera. Wszystko co prasa zagraniczna pisała o niezadowoleniu ludności niemieckiej z ostatnich „akcji" S. A. i S. S. — to tylko wymysły żydowskiej propagandy.

Być może. Ale jak w takim razie wytłumaczyć sobie taką oto reprymendę, jakiej udziela „der Intelligenzbestie" (piękny brunatny wyraz dla określenia niemieckiej inteligencji), organ S. S. i Gestapo, berliński „Das Schwarze Korps":

„Wiemy, że za obłudną maską waszej dobrej woli, waszej dobroci, waszego gadatliwego humanitaryzmu, kryje sie bestialskie okrucieństwo tchórzów... Myślicie, że pozwolimy wam przelewać łzy bezkarnie nad waszymi biednymi Żydami. Pomyliliście się..."

Organ p. Himmlera zna chyba nastroje kraju. I — przyznajemy — że jego interpretacja wydaje się nam zgodniejszą z rzeczywistością od interpretacji p. Goebbelsa. Zwłaszcza, że zaraz w następnym numerze pismo brunatnych koszul powraca do tego samego tematu, rozszerzając jednak zasięg nastrojów antyhitlerowskich daleko poza zasięg inteligencji. Cytujemy dosłownie:

„Każdy z nas miał chyba do czynienia w ostatnich dniach z jakimś takim dobrodusznym przedstawicielem miłości bliźniego i musiał toczyć z nim mniej lub bardziej gruntowne rozmowy. Pojawiali się oni bowiem, nieproszeni, w każdym sklepie rzeźnickim, przy każdym kiosku gazetowym, przy każdym stoliku kawiarnianym. Stali, życzliwie zatroskani, przed oszalowanymi wystawami..."

Każdy sklep rzeźnicki, każdy kiosk gazetowy, każdy stolik kawiarniany... Nie wygląda to na zbyt wielki sukces goebbelsowskiej propagandy. Obok Niemiec brunatnych istnieją Niemcy inne, Niemcy narodu niemieckiego, Niemcy Goethego, Heinego i Bebla. Do tych Niemiec, mimo wszystko, należy przyszłość.

Ku poprawie

„Promyk światła i zdrowego rozsądku w świecie, który kwalifikuje się do domu wariatów" — oto, jak określił zawarty w ub. tyg. traktat handlowy angielsko-amerykański brytyjski minister handlu i przemysłu, zaliczający się raczej do zwolenników ‚twardszej ręki" (w stosunku do Niemiec) Oliver Stanley.

Znaczenie tego traktatu nie jest jedynie gospodarcze. Przede wszystkim jest to porozumienie przeciw - osiow.e W następstwie tego porozumienia eksport niemiecki poniesie ciężkie straty na obu rynkach, zarówno angielskim, jak i amerykańskim. Poza tym, poprawa stosunków pomiędzy Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi oznacza dalej idący wpływ na politykę brytyjską, a wiadomo, że Stany Zjednoczone odnoszą się wybitnie nieprzychylnie do osi.

Być może zresztą, że już teraz doszło w tej sprawie do pewnych porozumień, dotyczących Dalekiego Wschodu. Prasa francuska — nawet organy dobrze poinformowane jak n. p. daladierowska „Oeuvre" — twierdzą, że istnieje tajny układ dodatkowy do traktatu, zawierający porozumienie co do wspólnego postępowania wobec Japonii. Oba mocarstwa anglosaskie mają pono domagać się kategorycznie zachowania zasady „otwartych drzwi" w Chinach i nie cofnąć się przed ekonomiczną blokadą Japonii w razie jej oporu.

Współpraca ze Stanami Zjednoczonymi jest jednym z czołowych haseł zwolenników demokratycznej i pokojowej polityki zagranicznej na Zachodzie. Teraz na pewnym, bardzo ważnym odcinku współpraca ta zostaje urzeczywistniona.

Glejchszaltung Węgier

Narazie jednak oś, a ściślej Trzecia Rzesza, zbiera owoce monachijskiego zwycięstwa.

Na Węgrzech doszło do rekonstrukcji rządu Imredy. „Chodzi o definitywne poddanie Węgier wpływowi Niemiec" — tak określa krótko i węzłowato, ale zupełnie słusznie, tę przemianę „Kurier Warszawski". Wprawdzie pękło przy tej sposobności na dwoje stronnictwo rządowe (wystąpili „liberali" i staro-feudałowie habsburskiego typu), ale „die rollende Mark" już potrafi wyrównać ubytek kilkudziesięciu posłów. Jednym z pierwszych zarządzeń nowego rządu ma być zmniejszenie odsetka Żydów w życiu gospodarczym poniżej poziomu, określonego w poprzednich ustawach antyżydowskich. Motywuje się to, zgoła oryginalnie tym, że skoro odsetek Żydów w kraju wzrósł wskutek przyłączenia ziem dawniej czechosłowackich, to trzeba zmniejszyć ich odsetek w zarobkach. „Madziarzy wyznania mojżeszowego" z Użhorodu i Mukaczewa zostali znowu, mówiąc terminologią pokrewnych rasistom węgierskim naszych oenerowców, „parszywymi Żydami". Tak jest, antysemityzm, to niewątpliwy znak fabryczny „Made in Germany".

W Czechosłowacji prezydentem został p. Hacha, stary germanofil. Tutaj narazie występuje inny patent berliński: totalizm. Ogłoszony już został program „partii jedności narodowej" sklejonej ze stronnictw mieszczańskich pod niemałym naciskiem Berlina (podobno poseł niemiecki nalegał na jej jaknajrychlejsze utworzenie, grożąc, w przeciwnym razie, że Berlin sam będzie zmuszony „uporządkować chaos polityczny w Czechach") „Program ten — pisze korespondentka praska „Kuriera Warszawskiego" — jest tak podobny do programu narodowych socjalistów Rzeszy Niemieckiej, iż tylko terminologia „autorytatywny" i „demokracja" stanowi pewną znikomą różnicę".

Rozumiemy, że Rzesza dyktuje swe warunki pokonanej i rozbitej Czechosłowacji. Rozumiemy, że w chwili gdy „żywe siły" narodów czeskiego i słowackiego pozbawione zostały — narazie — możliwości reagowania, hasła berlińskie pojawiają się na fasadzie Czechosłowacji. Ale co powiedzieć o politykach innych państw, również zagrożonych przez Berlin, ale jeszcze mogących się bronić, o politykach, którzy w takiej sytuacji kolportują hasła niemieckie, przyczyniając się w ten sposób do ideowego podboju własnej ojczyzny?

Stany Zjednoczone a Ameryka Łacińska.

Żaden dziennik polski nie podał do wiadomości czytelników polskich, że dnia 12 b. m. dokonano wymiany not pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem, na podstawie których zlikwidowany został długotrwały spór pomiędzy obu państwami o wykonanie meksykańskiej ustawy o reformie rolnej w stosunku do obywateli Stanów. A przecież ugoda ta jest niezwykle charakterystyczna dla polityki Stanów i może mieć wielkie znaczenie dla rozwoju wypadków na kontynencie amerykańskim.

Stany uznały legalność meksykańskiej reformy rolnej. Zastrzegły sobie jedynie odszkodowanie dla swych obywateli, w wysokości odpowiedniej do rzeczywistej wartości terenów, z tym jednak zastrzeżeniem, iż uwzględnione zostaną i inne okoliczności, jak np. sposób nabycia majątków itd. Oznacza to, że prawo własności zostanie, stosownie do żądań Meksyku, poddane rewizji. Najważniej-

sze jest jednak postanowienie dalsze: oto wypłata odszkodowania ma następować w zależności od możliwości płatniczych Meksyku, w ratach nie mniejszych, jak 1 mil. dol. rocznie. Są to oczywiście raty znikome, o charakterze niemal symbolicznym. Stany Zjednoczone zadowoliły się zasadniczym uznaniem słuszności swych żądań, rezygnując za to z faktycznej zapłaty.

Umowa ta jest tym ważniejsza, że przez wielu jest ona uważana za precedens do załatwienia sprawy amerykańskich towarzystw naftowych, których zakłady w Meksyku zostały wywłaszczone przez państwo. Jeśli i ta sprawa zostanie załatwiona w ten sposób, wszystkie problemy sporne istniejące pomiędzy Meksykiem a Stanami będą zlikwidowane. Umowa jest gorzkim rozczarowaniem dla rządu Chamberlaina. Jak wiadomo, w stosunku do Meksyku rząd ten, zupełnie inaczej niż w stosunku do Niemiec hitlerowskich, nie zawahał się użyć najostrzejszych środków. Z powodu wywłaszczenia Royal Dutch stosunki dyplomatyczne pomiędzy Meksykiem a Anglią zostały zerwane. Anglia popierała również pucz faszystowski Cedillo, załamany wskutek opornego stanowiska Stanów, które nie przepuściły samolotów dla faszystowskiego rebelianta. Obecnie, zawierając ugodę z Meksykiem, Stany ostatecznie przekreślają nadzieje angielskie, że rękoma Amerykanów uda się wydobyć z meksykańskiego ognia pieczone przysmaczki dla Royal Dutch'u.

Pakt z Meksykiem jest tylko ogniwem składowym całej polityki południowo-amerykańskiej prezydenta Roosevelta. Jeżeli stwierdza się zdecydowanie anty-faszystowskie i anty-osiowe stanowisko polityki waszyngtońskiej, to trzeba pamiętać, że dyktują je nie tylko szczerze liberalne przekonania osobiste prezydenta Roosevelta, ale i interesy gospodarcze Stanów Zjednoczonych. Ekspansja niemiecka poważnie grozi pozycjom Stanów w Ameryce Południowej. Jak wszędzie, operuje ona równocześnie argumentami gospodarczymi i politycznymi; jak wszędzie, opiera się ona o miejscowe agentury Faszinternu. Mocny akcent położony na haśle obrony demokracji amerykańskiej, jest zarazem demonstracją gotowości do obrony kontynentu południowo-amerykańskiego przed uzależnieniem od Niemiec. Jak poważnie traktuje rząd waszyngtoński to niebezpieczeństwo, o tym niech poświadczy fakt, iż Waszyngton zgłosił protest przeciwko odaniu Rzeszy Togo i Kamerunu, gdyż w tym wypadku Rzesza znalazłaby się zbyt blisko Ameryki Południowej.

Konflikt pomiędzy osią a Stanami o wpływy na państwa Ameryki Łacińskiej — to konflikt o niezwykle doniosłym znaczeniu politycznym, konflikt, którego następstwa nieraz dadzą o sobie znać w starej Europie.

Wojna z chrześcijaństwem w Niemczech.

W swym zachwycie nad antysemityzmem niemieckim różne „Małe Dzienniki" zapomniały zupełnie poinformować czytelnika polskiego, że obok pogromu Żydów, trwa w Niemczech w chwili obecnej pogrom chrześcijan, katolików i protestantów z pod znaku tzw. „Bekenntnisskirche". Jednym i drugim zarzuca się w szczególności, że w okresie kryzysu odprawiali nabożeństwa na intencję pokoju i w ten sposób dążyli do rozbrojenia duchowego narodu niemieckiego. Jest to, notabene, charakterystyczny przyczynek do „pokojowości" hitleryzmu, tak reklamowanej przez niektórych jego przyjaciół. Nie słyszeliśmy dotąd jeszcze, by tego samego rodzaju zarzuty czyniono za nabożeństwa z tą samą intencją księżom katolickim czy protestanckim w demokracjach zachodnich, opanowanych, jak wiadomo, zdaniem DNB., przez podszczuwaczy wojennych. Nie wiadomo nam również, by tego rodzaju zarzut postawił tam duchowieństwu chociażby ktoś z tych, których p. Gobbels, a za nim jego sługusy z agentur Faszinternu, raczą tam określać jako „partię wojenną". Wytaczanie spraw o zdradę kraju za nabożeństwa na intencję pokoju pozostaje specjalnością „pokojowej" Trzeciej Rzeszy.

Sygnał dało „miasto narodzenia ruchu": Monachium. Już w pierwszy dzień pogromu podniosły się tu groźby przeciw Kościołowi katolickiemu. Kiedy w odpowiedzi na groźby, kardynał Faulhaber zażądał od ministra spraw wewnętrznych Bawarii ochrony budynków kościelnych, p. Wagner odpowiedział mu szyderstwami. W mowie, oskarżającej „żydostwo międzynarodowe i jego czerwonych i czarnych obrońców" oświadczył, że jeśli kardynał Faulhaber chce być bezpieczny, to powinien zachowywać się poprawnie wobec państwa hitlerowskiego. „Wszystkie mowy, które papież wygłasza w Rzymie, służą obronie Żydów niemieckich i Żydów reszty świata" — tako rzecze dosłownie p. Wagner, minister spraw wewnętrznych Bawarii, a więc urzędowo odpowiedzialny przedstawiciel państwa, związanego, z Watykanem, bądź co bądź, konkordatem... Czyż można się dziwić, że w nocy, która nastąpiła po tej mowie, „nieznani sprawcy" powybijali szyby w pałacu kardynała?

Austria, teren, gdzie dopiero co rozgromiono pałac kardynała Innitzera, poszła szbko za przykładem monachijskim. Wywłaszczono tu, odrazu dwa opactwa benektyńskie w Styrii, z 30 tys. ha ziemi. Nie tylko żydowskie majątki przydają się skarbowi brunatnej dyktatury. Teraz dopiero uderzyły instancje centralne.

„Angriff", organ ministra Goebbelsa tytułuje papieża z zasady per „der Judenpapst": żydowski papież. „Das Schwarze Korps", organ czarnych koszul, tajnej policji hitlerowskiej, zapowiada wywłaszczenie Kościoła. Państwo nie może tolerować, jak pisze, by najcenniejszy majątek narodowy marnował się we władaniu „matwej ręki" kościelnej. Oczywista, żywa ręka brunatnych wodzów lepiej potrafi zużyć ten majątek...

Równocześnie posypały się represje na protestancką „Bekenntnisskirche". Dziesiątkom pastorów zabroniono wykonywania ich obowiązków. Zabroniono kościołowi ewangelickiemu używania własnych sztandarów. Odtąd na kościołach wolno zawieszać jedynie sztandary ze swastyką.

Brunatna dyktatura rozprawia się ze wszystkimi ośrodkami, które nie znajdują się w jej niepodzielnej władzy. Z kościołami chrześcijańskimi w ich liczbie. A „katolicy" spod znaku Faszinternu biją jej brawo i marzą o pogodzeniu hitleryzmu z Kościołem.

Zamiast na dno oceanu do Hiszpanii.

W chwili, gdy p. Chamberlain wytęża wszystkie siły, by zdławić opór Republiki, demokratyczna Ameryka raz jeszcze zaznacza, że rząd jej kieruje się zupełnie innymi względami.

Rząd Stanów przyjął projekt znanego demokratycznego pisarza niemieckiego Ernsta Tollera, by zboże, które jako zbędna nadwyżka miało zostać zniszczone w Stanach, skierować do Hiszpanii. Trzy statki zostały już załadowane i znajdują się w drodze. Dwa z nich minęły porty francuskie i płyną do Barcelony. Chleb z tego zboża ma zostać rozdzielony przede wszystkim pomiędzy kobiety i dzieci republikańskiej Hiszpanii. Każde dziecko w Barcelonie ma otrzymać co dzień, rano i wieczór, grubą „pajdę" chleba. Akcja, podjęta przez rząd Stanów znalazła już poparcie w piętnastu krajach Europy.

Jest to charakterystyczna odpowiedź dla tych, którzy właśnie teraz chcieliby wytargować dla gen. Franco prawo wygłodzenia, drogą blokady morskiej, cywilnej ludności Republiki.

Trzecia Rzesza przed trybunałem świata

Podajemy garść wypowiedzi czołowych osobistości i dzienników Zachodu o wypadkach niemieckich. Jak zwykle, podajemy niemal wyłącznie głosy prawicowców, przedstawicieli sfer raczej konserwatywnych. Nie dlatego, byśmy do nich przykładali większą wagę, ale przede wszystkim dlatego, że stanowisko kół postępowych i lewicowych w tej sprawie jest a priori jasne: żaden lewicowiec, żaden postępowiec nie może przecież stanąć w obronie faszystowskiego barbarzyństwa. Głosy podane przez nas świadczą, że pozycja ta nie ogranicza się bynajmniej jedynie do kół lewicy. Przeciwnie: w ocenie brunatnego reżymu opinia publiczna Zachodu jest jednomyślna. Oczywiście, z wyjątkiem agentów Faszinternu typu Doriota, Degrelle'a i Mosley'a. Ale ci na Zachodzie na razie nie uchodzą za przedstawicieli opinii publicznej swej ojczyzny. Raczej — za reprezentantów pewnych obcych, niekoniecznie zaprzyjaźnionych mocarstw...

EPOKA.

Pogrom posiadał wszystkie cechy planowej akcji, prowadzonej za oficjalną zgodą. Inaczej jak możnaby było wytłumaczyć fakt, że ataki rozpoczęły się w całym kraju punktualnie o godzinie drugiej rano i że policja, świetna policja niemiecka, nie była w stanie zapobiec ogólnemu plądrowaniu żydowskich sklepów. Policja nie interweniowała przeciw grabieżcom, ale odrazu występowała przeciw grabionym i przeciw tym, którzy próbowali fotografować płonące synagogi".

„Times" (filo - hitlerowski organ Chamberlaina).

„Uważam za niezbędne, by wszystkie P. E. N.-kluby wzięły udział w odruchu oburzenia, który obejmuje cały świat wobec ponowienia okrucieństw („atrocités"), jakich ofiarą padają w tej chwili Żydzi w Niemczech; okrucieństw niczym nie usprawiedliwionych, niczym nie mogących być usprawiedliwionymi, okrucieństw, cofających nas do atmosfery najciemniejszych epok barbarzyństwa".

Jules Romains, prezes międzynarodowego porozumienia P.E.N.-klubów, w liście do prezesów narodowych P.E.N.-klubów.

„Nieludzkie warunki życia, jakie Niemcy narzucają Żydom w Rzeszy, wywołują powszechne osłupienie i powszechne oburzenie. Nikt poza Niemcami nie może uwierzyć, by ten obraz okrucieństw, podpaleń i rabunków, na którego widok świat się oburza, mógł być wynikiem samorzutnego wybuchu ludowego gniewu i zemsty. Nie mogło być niczego podobnego w kraju, w którym wszystko jest ujęte w przepisy i w którym niczego nie można robić bez pozwolenia.

Henri Pichot, prezes kombatantów francuskich w „L'Oeuvre".

„Cały świat patrzy z oburzeniem, jak, w kraju tak cywilizowanym jak Niemcy, odpowiada się na zbrodnię jednostki tak straszliwymi represjami wobec ofiar, nie mających, poza przynależnością rasową, żadnego związku z mordercą".

Petit Parisien (prawicowy).

„Zdaje mi się, że dam wyraz uczuciom całego ludu chrześcijańskiego, jeśli bez wahań wypowiem oburzenie wywołane wiadomościami o aktach okrucieństwa i zniszczenia, popełnionych we czwartek w Niemczech i w Austrii. Jakkolwiek oceniać można prowokację, jaką stanowi godny ubolewania czyn jednego jedynego, nieodpowiedzialnego Żyda, represje o takim zasięgu, objawy takiej dzikości, okrucieństwa i takiego ducha zemsty, nie mogą być niczym usprawiedliwione".

Arcybiskup Canterbury (głowa Kościoła Anglikańskiego) list ogłoszony w „Times".

„Wypadki niemieckie poderwały głęboko nadzieje, jakie wiązaliśmy z porozumieniem monachijskim. Każdy z nas potępi zbrodnię, jaką stanowiło morderstwo paryskie. Ale równocześnie stajemy osłupiali wobec tych masowych i mściwych kroków odwetowych, stosowanych do tysięcy zupełnie niewinnych ludzi, jakie rząd niemiecki uważał za potrzebne podjąć".

Lord Zetland, minister dla Indii.

„Wierzę, że naród niemiecki zrozumie, iż szaleństwo motłochu i prześladowanie ludzi, których jedyną winą jest ich przynależność rasowa, nie przyczynia się do urzeczywistnienia polityki uspokojenia i dobrej woli".

Shakespeare, podsekretarz stanu Admiralicji.

„Tak głęboko oburzyło mnie obchodzenie się z Żydami, że postanowiłem wycofać się ze wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z Niemcami. Składam więc mandat przewodniczącego Ligi".

C. H. Andrews, prezes i założyciel Niemiecko - Angielskiej Ligi Przyjaźni.

„Nawet najbliżsi przyjaciele Mr. Neville Chamberlaina przyznają w tej chwili, że postępowanie Rzeszy wobec Żydów poważnie zaszkodziło dziełu pacyfikacji, podjętemu przez premiera. Oświadczają oni, że, wobec tego prawdopodobieństwo rozpisania nowych wyborów na początku pzyszłego roku stało się o wiele mniejsze".

„Yorkshire Post" (organ min. Edena).

„Prześladowania rasowe, prześladowania małych dzieci dlatego tylko, że urodziły się jako przynależne do danej rasy — oto fakty, które w oczach historyka przyszłości będą dowodem, że wiek nasz stał na niższym poziomie kulturalnym od wieków średnich".

Duff Copper.

„Nie wierzyłem, by coś podobnego mogło dziać się w naszym stuleciu".

prezydent Roosevelt.

„Kierownicy Niemiec niszczą na długi czas dobrą opinię Niemiec wśród narodów świata. Krzyżują oni każdy wysiłek przyjaciół narodu niemieckiego, którzy starali się im pomóc. Wierzę, że naród niemiecki, gdyby mógł wypowiedzieć, co myśli, potępił by te wystąpienia antyżydowskie".

b. prezydent Hoover.

„Apelujemy do świata, by głośno potępił oszalałe dyktatury. Niemcy porzuciły cywilizację. Dziś płoną synagogi. Jutro zapłoną tam katedry katolickie i protestanckie. Chrześcijanie na całym świecie muszą zrozumieć, że walka ta jest ich walką".

Tomasz Dewey, kandydat republikański na gubernatora N. Jorku.

„Kwestia żydowska znajdzie w najbliższych dniach rozwiązanie zgodne z uczuciami narodu niemieckiego. Tak chce naród a my wykonamy jego wolę. Część prasy zagranicznej jeszcze zajmuje się szerzeniem nienawiści. Nas to nie obchodzi. Niemcy są zwarte i zabezpieczone i nikt nie ma nic do gadania, kiedy Rzesza broni się przed wstrętnymi pasożytami".

Min. Goebbels w Berlinie.

„Niech każdy wie, że skorzystamy z zakładników, których żydowstwo światowe cudem pozostawiło w naszych rękach, podług zasady, ustalonej przez samych Żydów: oko za oko, ząb za ząb. Ale weźmiemy tysiąc oczu za jedno oko i tysiąc zębów za jeden ząb".

„Das Schwarze Korps".

Z dnia na dzień

I CI ZAWADZAJĄ

Czytamy w prasie codziennej:

„Według wieści nadeszłych z Budziszyna, umarł tam niedawno dr Jan Cyż, wydawca zamkniętych przez władze hitlerowskie „Serbskich Nowin", dziennika, który wychodził od blisko 100 lat. Zmarły wtrącony został do więzienia jako patriota łużycki, niewygodny hitleryzmowi razem ze studentem J. Miercinkiem i rozchorował się w murach więziennych. Inny łużycki pracownik narodowy, dziennikarz i poeta dr Jan Skala, któremu uniemożliwiono redagowanie wspólnego miesięcznika wszystkich mniejszości narodowych w Niemczech, „Kulturwehr", ogłuchł w więzieniu, z którego ostatecznie został zwolniony. Los więzionego studenta Miercinka nie jest znany".

Serbowie łużyccy są małym narodem, którego aspiracje kulturalne w niczym nie mogą zagrażać państwu niemieckiemu. Łużyczanie pracują nad odrodzeniem swej kultury, pielęgnują swój stary, słowiański język i folklor, a cała ich „antypaństwowa" polityka ogranicza się do działalności oświatowej, do kultywowania własnej literatury, zwłaszcza poezji ludowej. I taki też charakter ma ich prasa. To też nawet rządy wilhelmowskie pozostawiały Serbom łużyckim swobodę w ich pracy kulturalnej.

I trzeba dopiero było wielkiego „przełomu narodowego", żeby łużyccy patrioci stali się „niewygodni" — i znaleśli się za kratami hitlerowskich kazamat.

UWAGA NA CZASIE

Zachowawczo-sanacyjny „Dziennik Poznański" zwrócił się do wielu wybitnych osobistości ze świata nauckowego i literackiego o wypowiedzenie swego poglądu na sprawę nagrody miasta Poznania. Między innymi zwrócił się ten dziennik do prof. Henryka Ułaszyna, znanego naszym Czytelnikom ze swej odwagi moralnej i niezależności myślenia. Prof. H. Ułaszyn zgłosił się lojalnie na to wezwanie, aczkolwiek obawiał się, jak to sam zaznaczył, że odpowiedź jego „będzie nie w smak".

Trzeba przyznać, że redakcja dziennika wykazała duży obiektywizm, drukując poglądy prof. H. Ułaszyna, które znacznie odbiegają od poglądów pisma. Skrytykowawszy cały statut nagrody, prof. H. Ułaszyn zastanawia się jeszcze nad ostatnim punktem statutu, według którego przyznaje się nagrodę tylko „Polakom wznania chrześcijańskiego".

„Tłukę się — powiada prof. Ułaszyn— po tym świecie dość długo ale nigdy jeszcze nie natknąłem się na metrykę z napisem: „wyznania chrześcijańskiego". Jest to zresztą naturalne: są bowiem „wyznania chrześcijańskie", ale nie ma „wyznania chrześcijańskiego". Odnośne miejsce powinno brzmieć: „Polakom wyznań chrześcijańskich".

Prof. H. Ułaszyn, wypróbowany szermierz światła, zamyka swoją odpowiedź krótką ale dobitną uwagą następującą:

„Wytykając ten błąd, a pozostawiając warunek ową formułą wyrażony — nie znaczy, że on mi odpowiada, podzielam bowiem pogląd naszego wieszcza, że „Słońce Prawdy nie zna Wschodu ni Zachodu". I nie tylko „Słońce Prawdy", lecz również „Słońce Piękna" i „Słońce Dobra". Według mnie wystarczają granice polskości, bo jeśli my tę polskość ograniczać mamy wyznaniem (czy „rasą"), to eo ipso wystawiamy sobie świadectwo impotencji w stwierdzaniu polskości".

NAGŁA KREW...

Żydzi polscy zorganizowali szeroką akcję pomocy dla wygnanych po barbarzyńsku z Niemiec i obozujących w Zbąszyniu uchodźców żydowskich. Suma zebrana w Polsce dawno już przekroczyła milion złotych. Wśród ofiarodawców, których listę drukuje „Nasz Przegląd", znalazło się też wiele nazwisk polskich. Z pomocą nieszczęśliwym pośpieszyli polscy pisarze, księża, uczeni, dając w ten sposób piękny i zgodny z polską tradycją wolnościową przykład humanitaryzmu i solidarności ludzkiej.

Nic dziwnego, że ten szlachetny przejaw prawdziwie polskiego uczucia dla uciskanych i prześladowanych, a przytem — w naszych czasach pogardy — przejaw dużej odwagi cywilnej, bardzo się nie spodobał naszym rodzimym faszystom, urzędującym w różnych „narodowych" redakcjach. Takie np. **Prosto z mostu** rozgniewało się na prof. Kotarbińskiego, a już najbardziej oburzyła p. St. Piaseckiego i jego przyjaciół następująca lista ofiarodawców, ogłoszona w „Naszym Przeglądzie": Jerzy Andrzejewski, Józef Czapski, Maria Czapska,

Józef Czechowicz, Wanda Filipowiczowa, Karol Irzykowski, Maria Kuncewiczowa, Zofia Nałkowska, Stanisław Piętak, Adolf Rudnicki, Jan Tarnowski i Jan Tytus Tarnowski. Nazwiska, jak widzimy, albo zupełnie apolityczne, albo nawet prawicowe i arystokratyczne. Jedna Nałkowska, którą według znanej nomenklatury można by zaliczyć do obozu demo — czy też żydoliberalnego.

Ale organ „młodo-narodowy" nie posiada się ze złości, że to „towarzystwo" złożone z polskich literatów, literatek i „paru hrabiów" ośmieliło się pośpieszyć z pomocą nieszczęśliwym ofiarom nowoczesnego barbarzyństwa. Pana Zbyszewskiego — jak sam wyznaje — „krew zalewa" przy czytaniu tej listy: „Wstrętne żydoluby, żydochwalcy, żydolizy... **Już zaczęli myśleć w żargonie, kiedy zaczną w nim pisać?"** A możeby tak redaktor „Prosto z mostu" przełożył powieści Nałkowskiej i Kuncewiczowej albo wiersze Czechowicza na żydowski? Wydawcy by się znaleźli...

Zabawne jest w tym wszystkim tylko jedno. Oto Jerzy Andrzejewski pisywał swego czasu w „Prosto z mostu" i drukował tam swoją powieść „Ład serca", przyjętą bardzo przychylnie przez krytykę prawicową. Z Andrzejewskiego próbowano nawet uczynić sztandarowego pisarza ONR. Zdaje się jednak, że był zanadto... katolicki. Obecnie redakcja uznała za wskazane stwierdzić, że już przed kilku miesiącami rozeszła się z nim „na tle różnic ideowych". Widocznie „narodowa" ideologia p. Piaseckiego bardzo słabo promieniuje na ich współpracowników, skoro ci odchodzą od pisma, na którego łamach debiutowali...

OFENSYWA ROZWIJA SIĘ

W poprzednim zeszycie „Epoki" przytoczyliśmy głos hitlerowskiego czasopisma, które zapewniało: „Wiemy, że Żelazna Gwardia nie umarła".

Rzeczywiście — upłynęło nie wiele dni i Żelazna Gwardia pokazała, że żyje. W Cluj dokonano morderczego zamachu na rektora tamtejszego uniwersytetu, który w zbrodniarzach poznał dwóch swoich byłych studentów. W innym mieście rumuńskim w teatrze podczas występu artystki pochodzenia żydowskiego wybuchła bomba, siejąc śmieć i zniszczenie. W całej Rumunii ruch hitlerowski znowu podnosi głowę. Ofensywa mitteleuropejska rozwija się. Za Karpatami, w Bratysławie i w Husztcie rządzą już „narodowi" mandatariusze Trzeciej Rzeszy pod najwyższym dozorem inż. Karmasina, gauleitera partii hitlerowskiej na Słowaczyźnie (t. zw. Karpathendeutsche Partei). Ks. Tiso, pp. Sidor i Murgasz, to posłuszni wykonawcy dyrektyw otrzymywanych przez pana inżyniera z Berlina. A dziś wiadomo już dokładnie, że właśnie p.p. Murgasz i Sidor organizują przeciwpolskie wystąpienia na Słowaczyźnie, ukoronowane napadem na polską komisję delimitacyjną i strzałami, od których zginęli major Rago, st. strzelec Mlekodaj i strzelec Storch. I stamtąd, z Bratysławy i Husztu, hitleryzm prowadzi ofensywę przeciw Rumunii. A nie trzeba chyba nikomu w Polsce wyjaśniać, co oznaczało by dla nas shołdowanie tego kraju przez Niemcy. W chwili, gdy Budapeszt opuszczony przez Włochy ulegające ostremu naciskowi z Berchtesgaden, ostatecznie kapituluje przed Trzecią Rzeszą i „reorganizuje" swój rząd w myśl berlińskich życzeń, usuwając niemiłego Hitlerowi ministra spraw zagr. Kanyę — ścisła współpraca z Rumunią staje się jednym z najpilniejszych nakazów polskiej polityki zagranicznej. W obliczu wspólnego niebezpieczeństwa (bo skarcone przez Hitlera i opuszczone przez Mussoliniego Węgry już kierują swój wzrok ku rumuńskiemu Siedmiogrodowi, pewne w tej sprawie niemieckiego poparcia) — oziębienie stosunków polsko-rumuńskich spowodowane ostatnimi wydarzeniami może i powinno szybko minąć. Nie leży napewno w naszym interesie, żeby po Czechosłowacji i — zdaje się — Węgrzech także Rumunia stała się prowincją Mitteleuropy, żeby premierem rumuńskim został hitlerowiec, a jego mentorem tamtejszy Henlein czy Karmasin. A niebezpieczeństwo to jest rzeczywiście realne — zwłaszcza wobec całkowitej niemocy i bierności Włoch, które — jak przewidzieliśmy — chcąc nie chcąc uznały w tej części Europy niepodzielny monopol Trzeciej Rzeszy.

NIEUSPRAWIEDLIWIONE ROZCZAROWANIE...

Było to niedawno, tak niedawno jeszcze temu... Bywał wtedy w Warszawie p. Sidor, gościł u p. senatora Gwiżdża, chodził na rozmówki, udzielał wywiadów, zapewniał o przyjaźni...

Dzisiaj...

Skarży się gorzko „A.B.C." i pokrewne organy, że p. Sidor zmienił ton. Że w „Slovaku", jego własnym organie, raz po raz pojawiają się napaści na Polskę. Że jego szef propagandy, p. Murgasz, jest sprężyną agitacji anty-polskiej. Że z jego inspiracji, dawni „przyjaciele Polski" z obozu Hlinkowej Gardy, teraz wypowiadają nam przyjaźń. I dziwią się ludzie, jak to się stało.

I, wierząc w zapewnienia p. Sidora, że tu chodzi o Jaworzynę, tłumaczą mu że to drobiazg, że Jaworzyna należała się nam rzeczywiście itd. itd.

Wydaje się nam, że panowie z „A. B. C." dotąd nie poznali swego przyjaciela. Inaczej nie próbowaliby go przekonywać. Wiedzieliby, że p. Sidor żadnych argumentów, nawet najsłuszniejszych nie zrozumie. Nie zrozumie dlatego, bo mu nie wolno zrozumieć. Bo mu zakazano rozumieć.

Dlaczego? Rzecz prosta, bardzo prosta: panowie z „A.B.C." postawili na słowacką Targowicę. Ale Targowica tym się już odznacza, że nie tylko własnemu narodowi, ale nigdy nikomu wiary nie dotrzymuje. Targowica idzie zawsze tam, gdzie czuje grubszą kiesę. Targowica słowacka poszła do Berlina. Otrzymała stamtąd nowego wielkorządcę — gauleitera inż. Karmasina. I to Berlin, a nie Bratysława określa ton i treść artykułów „Slovaka".

Jeszcze jeden zawód dla tych, co chcieli współzawodniczyć z Berlinem w apostołowaniu totalizmowi w Europie... Obóz demokracji polskiej nigdy nie sympatyzował z p. Sidorem. Nie witał go ani nie gościł. I dlatego dzisiaj antypolskie wypady p. Sidora przyjmuje on bez zdziwienia. Wie on, że p. Sidor — hitlerowiec i madziaron w jednej osobie — miał i ma tyle prawa do przemawiania w imieniu ludu słowackiego, co mieli ongi Rzewuski i Szczęsny Potocki do wypowiadania opinii narodu polskiego. Wie on, że lud słowacki, ten prawdziwy lud słowacki czeka tylko chwili, w której będzie mógł porachować się z „narodowcami słowackimi", co oddali Koszyce Madziarom a stolicę słowacką Bratysławę pozwolili otoczyć łańcuchem niemieckich posterunków i zamienić na węgiersko-niemieckie kondominium.

HITLEROWCY W SUTANNACH

Niektórzy pomyślą, że znowu o braciszkach z Niepokolanowa lub o księdzu Trzeciaku!

Bynajmniej. Tym razem mowa o księżach-hitlerowcach za Karpatami, o dwóch premierach dwóch hitlerowskich rządów — w Bratysławie i Huszcie. W chwili, gdy w Niemczech i w sąsiedniej Austrii rozwija się bezwzględna i brutalna ofensywa hitleryzmu przeciw Kościołowi katolickiemu, gdy z ust papieża i najwyższych dostojników kościelnych w różnych krajach podnoszą się głosy ostrego potępienia faszystowskiej barbarii — dwaj księża katoliccy, Tiso i Wołoszyn, podjęli się smutnej roli wykonawców berlińskich dyrektyw. Znaleźli się w jednej kompanii z panami Franco, Codreanu, Szalassy, Degrelle i S-ką.

W tym samym czasie, gdy Alfred Rosenberg jadem nienawiści opluwa pod-

stawowe zasady nauki chrześcijańskiej, gdy gadzinowa prasa lży papieża i biskupów katolickich, ks. ks. Tiso i Wołoszyn czynnie współdziałają w hitleryzacji Europy środkowej, torują kultowi Wotana drogę dla dalszego, triumfalnego pochodu. Ks. Tiso, prałat rzymsko-katolicki, jeździ po rozkazy do Ribbentroppa, a ks. Wołoszyn, kanonik greckokatolicki i dyrektor seminarium duchownego w Użhorodzie, organizuje uzbrajane przez Berlin watahy faszystowskie.

Co gorsza, wszystko to dzieje się pod pozorem obrony interesów narodu słowackiego, względnie ukraińskiego. I jak nie wolno narodów tych obciążać odpowiedzialnością za polityczną, wrogą także słowackiej i ukraińskiej wolności, robotę księży-hitlerowców, tak też, rzecz jasna, nikt w obozie demokratycznym nie przypisuje odpowiedzialności za tę ich działalność Kościołowi katolickiemu.

A przecież — jest niejaka różnica. W krajach, rządzonych dziś w imieniu Hitlera przez ks. ks. Tiso i Wołoszyna, panuje już importowany z Niemiec system totalizmu. Wszelka jawna krytyka została już uniemożliwiona. Ludy, poddane hitlerowskim rządom obu księży, muszą milczeć, a w każdym razie głos ich nie przedostaje się do wiadomości opinii europejskiej. Ale władze kościelne, którym ci shitleryzowani księża podlegają, nie muszą milczeć. Milcząc, narażają się więc na zarzut, że politykę ich aprobują, a conajmniej tolerują.

Sądzimy, że sprawa da się wytłumaczyć inaczej. Znana dyscyplina kościelna nie jest już widocznie taka, jak dawniej I najwyższe czynniki kościelne zmuszone są widocznie patrzeć przez palce na hitleryzację pewnego odłamu duchowieństwa katolickiego. Zjawisko to obserwujemy przecież i w Polsce. Świadczy ono, że są księża, którzy się czują braćmi w Hitlerze, i to ich najwięcej obowiązuje.

P. S. Ostatnio prasa codzienna podała, że Watykan ma zakazać księżom w Czechosłowacji wszelkiej działalności politycznej. Gdyby wiadomości te okazały się prawdziwe, ks. ks. Tiso i Wołoszyn musieliby ustąpić — albo złamać dyscyplinę kościelną.

KAROL ZELLERMAYER

We Lwowie polała się krew. W westibulu uniwersytetu kilku studentów Żydów zostało zdradziecko napadniętych przez „nieznanych" zbirów i ciężko poranionych nożami. Śmiertelnie ranny student farmacji Karol Zellermayer zmarł w szpitalu. Pogrzeb jego stał się wielką manifestacją przeciw barbarzyństwu i ciemnocie. Nad grobem zamordowanego przemówił między innymi przedstawiciel młodej demokracji polskiej, który oświadczył:

„Ja tu nie tylko przemawiam jako demokrata, ale jako człowiek, jako akademik, jako Polak. Muszę zaprotestować imieniem tych akademików, którzy się wstydzą, że w murach uczelni dzieją się rzeczy, uwłaczające kulturze i człowieczeństwu. Wierzymy, że sprawiedliwość musi zwyciężyć, że idee braterstwa narodów muszą zatriumfować. Nic to, że potężne siły sprzysięgły się przeciw demokracji i postępowi. Demokracja musi zwyciężyć. Od naszej zwartości i dyscypliny zależy, kiedy nadejdzie ten dzień braterstwa i sprawiedliwości.

Cześć pamięci przedwcześnie zgasłego Kolegi!"

Tregedia lwowska oskarża głośniej, niż mogły by to uczynić najbardziej płomienne protesty przeciw zbrodniczej żydożerczej nagonce faszystowskich pogromszczyków, przeciw importowanej do Polski „ideologii" Puryszkiewicza-Rosenberga.

Wacław Nałkowski

I.

Wacław Nałkowski urodził się w 1856 r. w Nowym Dworze pow. garwolińskiego. Od czternastego roku życia liczyć musiał wyłącznie na własne siły. Zarabiając na utrzymanie i ucząc się jednocześnie, z największym odznaczeniem ukończył gimnazjum w Lublinie. Studia wyższe rozpoczął na wydziale matematycznym uniwersytetu petersburskiego, ale później, zrozumiawszy, że traci ścisły związek z życiem i człowiekiem, zniechęcił się do oderwanego myślenia matematycznego i poświęcił się z zapałem naukom przyrodniczo - geograficznym. Z Petersburga przeniósł się następnie na Uniwersytet Jagielloński, później zaś do Lipska, gdzie w seminarium słynnego uczonego Richthoffena wprawił w zdumienie geografów śmiałością i oryginalnością pomysłów naukowych.

Powróciwszy do kraju, rozpoczął twórczą działalność naukową, pedagogiczną i piśmienniczą. W 1887 r. wydaje „Zarys geografii rozumowej", w parę lat potym „Geografię Poglądową", następnie „Malowniczą", „Powszechną", później znów prace p. t. „Historia Nauki o Ziemi", „Ziemia i Człowiek", nie licząc wielu studiów i rozpraw pomniejszych, oraz artykułów, drukowanych w „Słowniku Geograficznym", w „Encyklopedii Ilustrowanej", w czasopismach: „Wisła", „Ateneum", „Przegląd Tygodniowy", „Prawda", „Głos", „Ogniwo", „Przegląd Pedagogiczny", „Społeczeństwo" i wielu innych wydawnictwach specjalnych.

Ten niestrudzony i twórczy miłośnik wiedzy dzielić jednak musi los niemal wszystkich innych ówczesnych uczonych polskich pod zaborem rosyjskim, pozbawionych katedr uniwersyteckich, pomocy naukowych, wielkich bibliotek i t. d., musi ciężko walczyć o byt powszedni, wykładając na kursach prywatnych lub na pensjach żeńskich, a często, kosztem zasłużonego odpoczynku po całodziennej pracy ślęczeć musi po nocach i kreślić mapy geograficzne dla opędzenia potrzeb najniezbędniejszych.

Ale Wacław Nałkowski, zahartowany od dzieciństwa w twardej szkole życia, idzie wciąż naprzód, łamiąc wszelkie zapory, pracuje dalej naukowo i wyprzedza swymi twórczymi pomysłami uczonych zachodnioeuropejskich, działających w nieskończenie przyjaźniejszym klimacie naukowym i wyposażonych w środki materialne, zabezpieczające im dzień jutrzejszy. Ale cóż! Nałkowski, odsunięty siłą rzeczy od wielkich ognisk umysłowych zachodu, pozostać musi w cieniu, i choć wcześniej, niż niemiecki geograf Kirchhoff, osiągnął nowe wyniki badań naukowych, traci tytuł do pierwszeństwa swych pomysłów i osiągnięć, traci też wawrzyn zasługi, opromieniony sławą światową, który wieńczy głowę uczonego niemieckiego.

Mimo wielkich i wszechstronnych zamiłowań naukowych i żarliwego oddania się wiedzy, Wacław Nałkowski nie mógł i nie chciał pozostawać wyłącznie gabinetowym uczonym. Obdarzony wielką wrażliwością na ucisk, niesprawiedliwość i krzywdę ludzką, gnany wewnętrzną potrzebą walki z ówczesną obcą przemocą i z rzeczywistością społeczną, Wacław Nałkowski idzie

w pierwszym szeregu pisarzy w bój o pełne wyzwolenie człowieka.

Wybuchowy, płomienny i sarkastyczny, obdarzony niepospolitym talentem pisarskim, zawsze pełen ognia ideowego, rwał się pierwszy na redutę, podnosząc sztandar walki, kiedy chodziło o wyrównanie krzywdy, o obronę słabych, poniewieranych, szczutych lub prześladowanych, kiedy chodziło o obronę czci osaczonych przez reakcję lub wyklętych pisarzy. Szedł naprzód wówczas przebojem z heraklesowym poczuciem pełnionego obowiązku, nie zważając na groźby ani liczbę nieprzyjaciół. W walce był Nałkowski, mówiąc jego własnym językiem, jak owi świetni wodzowie kawalerii, co trawieni gorączką boju, gnani świętością sprawy nieraz opłacali zwycięstwo zbyt drogo kosztującymi atakami.

Gdy ujął się np. swego czasu za Cezarym Jellentą, wpadł w wir mściwych oszczerstw i inwektyw, a nieustające szczucie i nagonka oszalałych filistrów osiągnęły usunięcie Nałkowskiego z posady nauczyciela i podkopały źródła jego zarobkowania. A gdy „Prawda" Świętochowskiego, której był stałym współpracownikiem i cenił to sobie wysoko — zajęła zdaniem jego niewłaściwe stanowisko w całym sporze o Jellentę — wystąpił z pisma i nigdy tam już nie powrócił. Gdy uznał znów, że przedsiębiorcy „Przeglądu Pedagogicznego" wyrządzili niepowetowaną krzywdę J. Wł. Dawidowi, usuwając go przez nienawiść do wielkości ze stanowiska redaktora po wielu latach pracy, Nałkowski również wystąpił z pisma, oświadczając publicznie, że „dla nowej redakcji, jako wyrosłej na gruncie krzyczącej niesprawiedliwości nie ma i nie będzie miał ani jednej litery". Ażeby nie pozostawić złudzeń co do mocy i nieodwołalności tego postanowienia, Wacław Nałkowski, sporządził obszerny akt oskarżenia, stanowiący dziś historyczny i biograficzny dokument p. t. „Epizod z rugów polskich", w którym wykazał bezmiar niesprawiedliwości wobec J. Wł. Dawida i wyszydził nędzę naukową i pomysłowość handlarską jego następców. Nigdy też Nałkowski już nie wrócił do „Przeglądu Pedagogicznego", choć ten magnat ducha utrzymywał się z ciężkiej pracy pióra i wyrobnictwa nauczycielskiego.

Gdy zaś wypłynęła sprawa Stanisława Brzozowskiego, Nałkowski zajął stanowisko obrończe, jednakże jako świadek w tym procesie lojalnie nie ujawniał tego na zewnątrz, szanując uchwałę w tym względzie sądu krakowskiego, który nakładał obowiązek milczenia w prasie aż do chwili wyświetlenia rzeczy. Nałkowski ostro potępiał postawę Andrzeja Niemojewskiego, który w swej „Myśli Niepodległej" usiłował przeprowadzić dowód winy autora „Legendy Młodej Polski" a jego obrońców udekorował epitetem chorych, cierpiących na „paranoia Brzozowiana". Nałkowskiego jako przyrodnika uderzyła wówczas dziwna zgodność, z jaką różne pozornie typy biologiczne ze środowiska narodowej demokracji, ugodowców, wolnomyślicieli i radykałów zebrały się w „jednej kałuży, aby się pławić w plugawieniu Brzozowskiego". Nałkowski wolał jednakże, jak sam się wtedy wyraził, zostać paranoikiem na punkcie Brzozowskiego, niż znaleźć się w stadzie, dotkniętym zarazą wścieklizny, co zresztą sam później wyłożył i uzasadnił w druku na rok przed swoją śmiercią.

Aby ten rys duchowego oblicza Nałkowskiego stał się jaknajbardziej wyraźny, trzeba podnieść i niejako sprostować pewien szczegół ważny, będący dotąd w obiegu, albo raczej niepotrzebnie pokutujący. Trzeba mianowicie ustalić, że Nałkowski nie tylko nie był osobistym przyjacielem Brzozowskiego, choć równocześnie byli bliskimi współpracownikami „Głosu", ale, co ważniejsze, iż w 1908 r., kiedy kruszył kopie w obronie posądzonego o haniebną służbę autora „Głosów wśród nocy", Nałkowski był już zdecydowanym ideowym wrogiem Brzozowskiego, jako pisarza i myśliciela, był nieubłaganym, surowym krytykiem jego nowych poglądów filozoficznych i literackich. Daje temu wyraz kilkakrotnie w obszernych notatkach do swojej krytyki „Legendy Młodej Polski". W jednym miejscu określa swój stosunek do Brzozowskiego w słowach następujących: „Ci, którzy mnie widzieli obrońcą Brzozowskiego i mienili mylnie „przyjacielem" dziwią się zapewne tej zmianie tonu i może zarzucą sprzeczność — bynajmniej, i dziś z oburzeniem odrzucam metody walki z Brzozowskim, korzystania z zarzutów szpiega, i dziś stanąłbym w jego obronie... — Ale skoro on używa swej dialektyki na wzmocnienie... (reakcji społecznej), na wzmocnienie wroga, który z nas krew ciągnie, staje się już przez to moim wrogiem".

Kto znał Wacława Nałkowskiego, a zwłaszcza miał możność i szczęście z nim przestawać i pracować, wiedział, że moc jego własnego sądu, zdobywanego w trudzie myśli, nadawała wagę jego słowom we wszelkich okolicznościach życiowych i można było być pewnym, że gdy zajął po namyśle określone stanowisko wobec jakichś rzeczy lub ludzi, nie zejdzie z niego w żadnym wypadku, nawet gdyby miał wszystkich przeciwko sobie. A miał pełną świadomość, że stawianie czoła światu, rozporządzającemu, jak pisał, sprytem życiowym, prasą, pieniędzmi, brutalnością liczby, bezkrytycznością ogółu, tchórzostwem opinii, jest rzeczą nierozważną w sensie praktycznym, ale mimo to nie wahał się nigdy zmierzać z tym światem i twierdził dumnie, że nie wszyscy jeszcze upadli do rzędu filistrów i nie ulegli ślepocie moralnej, a całym swoim życiem dowodził, że zasady były mu droższe nad wszystko i o nich, jak o uczuciach mawiał z poetą: tam jest krew moja. Nie był to zwrot retoryczny, bo gorejąc na wyżynach idealizmu, gardził rzeczywiście przystosowaniem do silnych tego świata w imię wygód lub korzyści osobistych. Gdy jako student, borykając się ciężko z niedostatkiem,

mieszkał w Krakowie w nędznym, nigdy nieopalanym pomieszczeniu, gdzie w nocy atrament w kałamarzu zamarzał, umiał nie skorzystać z pałacu swoich krewnych, znajdującym się opodal. A nie skorzystał tylko dlatego, że wiedział, iż całe ich otoczenie stanowi niezachwianą podporę wstecznictwa i zaboru. Wiedział, że przeciwnicy ze świata, kupczącego idealizmem, starać się będą zburzyć mu jego skromną i wątłą egzystencję, ciężką pracą zdobytą, ale nie uważał tego za rzecz przerażającą, dowodząc, że prawdziwi ludzie idei przywykli już odmawiać sobie wszystkiego, aby nie frymarczyć swoją duszą. Próbowano więc zgnębić, wytrącić mu z ręki jego płomienne pióro i wszelkimi sposobami obezwładnić, to przez odebranie mu prawa nauczania w szkołach i skazanie na wyrobnictwo po domach, to przez nieustające szczucie i ośmieszanie. Dla umniejszenia jego olbrzymich zasług naukowych, pedagogicznych i pisarskich degradowano go przy każdej okazji do rzędu „pewnych prywatnych nauczycieli geografii". Świat jednak inaczej, niż jego karłowaci i małoduszni przeciwnicy z warszawskiego bruku, ocenił jego wkład do skarbnicy wiedzy. Jedna z wypraw polarnych, gdy na dalekiej północy, pod niedostępnym biegunem, wśród pustyń lodowych i odmętów śnieżnych odkryła nową rzekę, wpadającą do Morza Karskiego w Nowej Ziemi, przez pamięć dla zasług naukowych polskiego uczonego nazwała ją tam imieniem i nazwiskiem Wacława Nałkowskiego. Wśród bezludnych lodów dźwięczy tedy to szlachetne imię, tylko Warszawa nie ma kawałka bruku, na którym wyryte by zostało to chlubne nazwisko.

HENRYK LUKREC

(Dok. nast.)

OAZA ROZPACZY

Znajdujemy się w punkcie Polski, na który zwrócone są oczy całego kulturalnego świata. Zbąszyń, mała mieścina, położona pomiędzy rzeką a jeziorkiem, tonie jak Londyn w oparach wiecznej wilgoci. Sześć tysięcy mieszkańców tego miasteczka nigdy nie spodziewało się, że spadnie na nich nagle jak piorun z jasnego nieba, sława rozgłośna, ach niezbyt może przyjemna.

Wysiedleńcy, czy jak się to mówi, uchodźcy z Niemiec, przerzuceni jesiennej nocy przez granicę na rozkaz władz niemieckich, rozproszyli się po całym Zbąszyniu, częściowo zajmując mieszkania prywatne, w głównej jednak mierze lokując się w wielkich stajniach, pozostałych po przedwojennej szkole kawaleryjskiej.

Warunki bytowania uchodźców dalekie są od tego, co należałoby im się po wszelkich trudach wielokilometrowego marszu do granicy. Stajnie, w których przebywa większość uchodźców, a między nimi starcy, kobiety i dzieci, nie posiadają minimalnych nawet warunków najprymitywniejszej higieny. Rozsypana po ziemi słoma, czasem sienniki, a w wyjątkowych wypadkach materace są powszechnym leżem — okrycie stanowią palta, jakieś łachmany, czasem koce i rzadko normalne kołdry. Nie jest to bez wpływu na stan zdrowia uchodźców, jeżeli weźmie się pod uwagę zupełny brak okien, dziurawe dachy, pozbawione drzwi bramy. To też grypy, zaziębienia, zapalenia płuc i ostre bronchity są tu na porządku dziennym.

Brak odpowiednich pomieszczeń dla chorych (nie wchodzą tu niemal w rachubę improwizowane ambulatoria i izby chorych) oraz trudności w rozmieszczeniu ich w szpitalach uniemożliwiają leczenie, mimo, iż nie brak ofiarnych lekarzy i potrzebnych leków.

Część dzieci (niecałe 20% na ogólną liczbę 700) umieszczona została w jakich takich warunkach w miejscowej hali gimnastycznej. Tym dzieciom wiedzie się, już — jak na stosunki zbąszyńskie — „luksusowo". Mimo to jednak i tam dają się we znaki jesienne choroby dróg oddechowych. Co będzie, jeżeli sytuacja nie ulegnie zmianie do pierwszych mrozów? Trudno doprawdy dać na to optymistyczną odpowiedź.

Najtrudniejszym zagadnieniem jest kwestia aprowizacji dla wielkiej liczby ludzi, gdyż z prowiantów, którymi dysponuje Komitet pomocy, korzystają wszyscy uchodźcy, mieszkający zarówno w barakach, w starym młynie, jak i w domach prywatnych. Mimo dość znacznego napływu ofiar w gotówce i w naturze nie daje się ta sprawa łatwo rozwiązać, przede wszystkim ze względu na masowość świadczeń i konieczność jak najostrzejszej kontroli w celu zapobieżenia nadużyciom.

Posiłki przyrządza się w kuchniach polowych i rozdziela się je w kilku punktach. Poza tym rozdaje się odpowiednie racje pieczywa, masła, jarzyn i t. p., a także nadsyłaną odzież, której niestety ciągle jeszcze jest za mało.

Uchodźcy żyją nadzieją jak najrychlejszego zakończenia ich gehenny. Pragnąc zabić wolno wlokący się czas, urządzili sobie własny aparat pocztowy, odbierający zbiorowo na poczcie z górą 2000 listów i ponad tysiąc drobnych i większych paczek dziennie. Poza tym stworzono własne zespoły krawieckie i szewskie, a wszyscy wysiedleni lekarze, sanitariusze i t. p. oddali się na usługi ogółu.

O tym co się dzieje w Zbąszyniu, można pisać na różne tony, albo zgoła sucho, gryząc wargi z bólu. Wybrałem ten drugi sposób, gdyż chodzi mi o podanie garści rzeczywistych szczegółów, nie zaś o pisanie barwnego reportażu.

Uchodźcy mają dosyć litości, którą im okazują miłosierni ofiarodawcy. Chcą zwolnienia z przymusowego pobytu w pasie granicznym. Wielu z nich posiada wizy wyjazdowe do krajów zamorskich. Około 90% uchodźców posiada mniej lub więcej konkretne możliwości emigracji. Już choćby z tego punktu widzenia konieczna jest obecność ich w stolicy czy w miastach rodzinnych. Czy nie należałoby i tej sprawy brać pod uwagę w rozpatrywaniu zagadnienia zbąszyńskiego? Jak długo ma trwać ten stan anormalny i krzywdzący? I co będzie — co będzie, gdy przyjdą pierwsze mrozy?

WŁODZIMIERZ LENCKI.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

Anna Lewicka: „Wśród naszych łąk i borów. Obrazki z życia zwierząt". Wydanie drugie. Warszawa 1938 — Wydawnictwo *J. Przeworskiego.*

Jest to szereg barwnych opowiadań z życia zwierząt. Łatwa, beletrystyczna forma udostępnia młodemu czytelnikowi poznanie życia „wśród naszych łąk i borów". Doskonałe rysunki Witolda Chmielewskiego ożywiają książkę i utrwalają w pamięci dziecka obrazy opisywanych zwierząt. Wydanie drugie świadczy najlepiej o powodzeniu tej pożytecznej książki.

Julian Tuwim: „Słoń Trąbalski". Ilustrowała Janina Jankowska. Wyd. J. Przeworskiego.

Julian Tuwim: „O Panu Tralalińskim i inne wierszyki". Ilustrowała Franciszka Themerson. Wyd. J. Przeworskiego, Warszawa, 1938.

Seria książek Tuwima dla dzieci zawiera wiersze przeważnie drukowane już w „Wiadomościach Literackich". Wprawdzie nie wszystkie wiersze są dla dzieci zrozumiałe. Znać, że wyszły z pod pióra poety, piszącego dotychczas dla dorosłych. Jednak większość tych wierszy dzieci przyjmują z entuzjazmem. Sprawia to humor w nich zawarty i bardzo wysoka klasa poetycka, na którą dzieci są bardzo wrażliwe. Układ graficzny „Pana Tralalińskiego" — mimo świetnych rysunków Franciszki Themersonowej — nie zbyt fortunny. Rozstrzelenie wierszy utrudnia młodocianym czytelnikom uchwycenie całości. Pod tym względem korzystniej przedstawia się zbiorek „Słoń Trąbalski". Obie książki, wydane bardzo starannie i na wysokim poziomie artystycznym, stanowić będą niewątpliwie ozdobę biblioteczki każdego dziecka. Ciekawe były by odpowiedzi dzieci na „list do czytelników" umieszczony na końcu „Słonia Trąbalskiego". *H.*

RICHARD KATZ — „Żniwo wędrówek". — Przekład Zofii Petersowej. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa, 1939.

Zamiłowany podróżnik niemiecki, Richard Katz, znany jest czytelnikowi polskiemu z „Włóczęgi dokoła świata", książki swego czasu bardzo popularnej, w której autor wykazał nad podziw dużą zdolność chłonną oraz umiejętność malowania swoich przeżyć i obserwacji. Należy przy tym zaznaczyć rzecz charakterystyczną. Otóż — na ogół nie sposób zaklasyfikować twórczości Katza do żadnego ze znanych nam rodzajów reportaży dziennikarsko-podróżniczych. Ale mimo że autor „Żniwa wędrówek" nie jest w swych relacjach podobny do bussinesmana i polityka Knickerbockera, ani do naszego romantycznego przyrodnika Fiedlera, ani wreszcie do „szalonego reportera" Kischa — łączy jednak dużo cech charakterystycznych dla wyżej wymienionych pisarzy i dlatego książki Katza stanowią w pewnym sensie doskonałą syntezę podróżniczą.

Katz umie patrzeć. Obok kolorowego, błyskotliwego i — zdawałoby się — beztroskiego życia Damaszku, dostrzegł też podróżnik — „robotników pracujących po 14 godzin na dobę w wilgotnych piwnicach i to jak małpy: rękami i nogami". Jeden z tych szczęśliwców — „który krajał masę perłową miał kciuk zupełnie spłaszczony i miękki jak gąbka, a gdy nim naciskał muszlę, z pomiędzy ciała i paznokcia wypływała ropa"... Katz chwaląc niektóre dodatnie strony kolonizacyjne Anglików czy Francuzów, zapoznaje nas jednocześnie z ofiarami krwi i życia łożonymi przez ludność kolorową na ołtarzu potęgi kolonialnej mocarstw europejskich. Wraz z autorem widzimy opiewane w pieśni, „beztroskie" Tahiti pachnące ananasem i wieczną wiosną, ale dostrzegamy też jednocześnie bezceremonialny wyzysk tubylców. Katz uodpornił się swoim wrodzonym obiektywizmem i krytycyzmem na handlową propagandę różnych biur podróżniczych i przewodników i nie został urzeczony „kolorowością", jak wielu jego poprzedników. Rozkoszując się np. pięknem Fidżi, dostrzegł też degenerację jej mieszkańców uszczęśliwionych przez białych cywilizatorów... wódką, tuberkulozą i luesem. I tak samo w Grecji, Indiach, na Nowej Zelandii, w Palestynie, czy Kalifornii. Wszędzie dyscyplina pisarska i odpowiedzialność przed czytelnikiem, dążność do wniknięcia w głąb rzeczy widzianej — bierze górę nad powierzchownością i płytkością, a wyczuwalny niejako obiektywizm relacyj wytwarza między pisarzem i czytelnikiem atmosferę ufności i wiary.

Założeniem Katza zdaje się być maksyma: bawiąc— uczyć. Książki jego cechuje lekkość formy i jasność stylu, oraz bardzo pogodny humor i ironia. (Np. „Wysoko obładowane wielbłądy z melancholijnymi wargami Habsburgów"...). Najnowsza książka Katza stanie się napewno bardzo popularną lekturą polskiego czytelnika.

Przekład Zofii Petersowej — gładki. Korekta — zła.

Jan Karol Wende.

Wybory samorządowe nie będą plebiscytem milczenia. Społeczeństwo weźmie w nich masowy udział. Da wyraz swoim opiniom. Wskaże, jakimi drogami powinien — zgodnie z wolą ludności — potoczyć się dalszy rozwój naszego życia publicznego. Wynik wyborów ma tedy być sprawdzianem rzeczywistych nastrojów narodu, skoro wybory te są pierwszym od wielu lat aktem politycznym, który w zasadzie umożliwia każdemu obywatelowi nieskrępowane, swobodne i szczere wypowiedzenie swych poglądów społeczno-politycznych. W wyborach tych oddamy swe głosy na ludzi, których dotychczasowa działalność społeczna, polityczna czy oświatowa jest nam dobrze znana; na przedstawicieli wielkich, masowych ruchów politycznych w mieście i na wsi, odzwierciadlających potrzeby, dążenia i ideały najszerszych rzesz ludności, reprezentujących rzeczywisty interes narodu i państwa. Dlatego wybory samorządowe będą potężną i wymowną manifestacją prawdziwego zjednoczenia narodu pod sztandarem demokracji — pod sztandarem prawa i wolności.

Głosując w miasach na wspólne listy Polskiej Partii Socjalistycznej, Klasowych Związków Zawodowych i Klubów Demokratycznych, a po wsiach na listy Stronnictwa Ludowego — demokracja polska może pokonać reakcję, zdobyć samorząd i pchnąć naprzód dzieło demokratycznego zjednoczenia narodu.

Dwugłos o „pacyfizmie integralnym"

I.

Artykuł p. Romana Langa p. t. „Złudzenia pacyfizmu integralnego" (Epoka z dn. 5.XI.38 r.) nasuwa każdej osobie jako tako obznajmionej z tym ruchem szereg poważnych zastrzeżeń. Walka między dwoma ideologicznymi obozami jest rzeczą naturalną, czyż jednak musi się koniecznie odbywać kosztem trzeciego obozu posiadającego zgoła odmienną ideologię? Rozumiem doskonale, że pacyfizm integralny — odrzucenie metody rozstrzygania sporów międzynarodowych siłą fizyczną — może budzić niezadowolenie w stronnictwach politycznych, które stale tę metodę stosują. Uznaję, że p. Lang ma prawo uważania integralnych pacyfistów za „ludzi miękkich" i „utopistów", tak samo, jak oni mają prawo uważania go za człowieka zajmującego się syzyfową pracą polepszania stosunków europejskich przy pomocy bomb i karabinów maszynowych. Ale wydaje mi się, że gmatwa całe zagadnienie, gdy nazywa „obłudnymi, integralnymi pacyfistami" ludzi, którzy nigdy nie próbowali się podszywać pod miano integralnego pacyfisty. Mr. Neville Chamberlain oświadczył w Izbie Gmin, że Anglia gotowa jest bić się w obronie całości Imperium Brytyjskiego. Obawiam się, że słowa takie byłyby nie do pomyślenia w ustach integralnego pacyfisty. Gdyby Mr. Chamberlain był obłudnym, integralnym pacyfistą, nie składałby deklaracji, któreby go natychmiast demaskowały. Jeśli p. Lang przejedzie się kiedy do Anglii, przekona się z łatwością, że nie ma słowa, któregoby chamberlainiści tak starannie unikali i na dźwięk którego uśmiechaliby się tak kwaśno, jak słowo „integralny pacyfista" (conscientious objector).

Błędem jest również twierdzić, że pacyfizm integralny wyrósł przed dziesięciu laty na użyźnionej krwią powojennej glebie. Ruch ten narodził się jeszcze przed wojną (w Europie jego ojcem duchowym był Tołstoj) jako odpowiedź na coraz to większe zbrojenia mocarstw biorących udział w sławnym „koncercie" a okrzepł i zahartował się w najczarniejszych godzinach wojny światowej, gdy nie trudno było odróżnić pacyfistę od niepacyfisty, gdyż ci ostatni nie nauczyli się jeszcze mówić o „obronie zagrożonego pokoju".

Nic mi o tym nie wiadomo, jakoby Jerzy Lansbury stracił wpływ na masy robotnicze (przeciwnie, mogę zapewnić p. Langa, że ten sędziwy socjalista jest jednym z najpopularniejszych ludzi w Anglii), natomiast wiem, że duża ilość członków brytyjskiej Partii Pracy nie jest bynajmniej zachwycona polityką zagraniczną jej przywódców i wolałaby otrzymać coś pozytywniejszego, niż popieranie imperializmu i groźbę wojny. Nie jest rzeczą wykluczoną, że z niezadowolenia tego skorzysta Niezależna Partia Pracy i dlatego na miejscu p. Langa nie śpieszyłabym się zbytnio z zamawianiem dla niej trumny.

Integralnych pacyfistów jest niewielu. Nikt się z tym nie będzie sprzeczać — cóż znaczy kilkaset tysięcy ludzi wobec milionów. Ale choć europejczycy dalecy są jeszcze od przyjęcia pacyfistycznej filozofii życia, we wszystkich krajach szerzy się żywiołowa niechęć do wojny. Przypomnijmy sobie dni wrześniowe. 27 września zmotoryzowane dywizje przejeżdżające przez Berlin powitane zostały przez tłum okrzykami „precz z wojną". W tym samym czasie we Włoszech śpiewano na ulicach „Marsyliankę", demonstrując na rzecz Francji. O entuzjazmie zmobilizowanych rezerwistów francuskich i marynarzy angielskich lepiej wcale nie mówić. Według zwięzłego określenia jednego z holenderskich publicystów „sytuacja była taka, jak w 1914 r.; nastroje takie, jak w 1918 r.". Miejmy nadzieję, że wszelkiej maści stronnictwa polityczne nie będą zamykać oczu na te fakty. Byłoby obecnie pomyłką liczyć na masową gotowość do walki za jakąkolwiek sprawę; budować można jedynie na powszechnej niechęci do walki. W miarę tego, jak wojna staje się „niepodzielna", położenie jej kresu staje się najgorętszym pragnieniem ludów europejskich.

Na zakończenie jeszcze jedno. Zdaniem p. Langa, demokracja polska nie może pozwolić na szerzenie idei „obłudnego" integralnego pacyfizmu. Niewątpliwie obłudne wywody angielskich, francuskich i niemieckich imperialistów na temat umiłowania pokoju są w wysokim stopniu irytujące. Nie przypominam sobie jednak, by jaki pacyfista domagał się z tej racji ograniczenia swobody słowa i druku. Demokracja, która nie zapewnia wszystkim bez wyjątku mniejszościom całkowitej swobody propagandy, nie jest już demokracją, lecz dyktaturą.

Amelia Kurlandzka.

II.

P. Kurlandzka zarzuca mi, że zajmuję się „syzyfową pracą polepszania stosunków europejskich przy pomocy bomb i karabinów maszynowych". Nic podobnego. Nie wierzę — jak nie może wierzyć żaden demokrata — w cudotwórczą moc bomb i karabinów maszynowych. Zdaje mi się natomiast, że pani Kurlandzka, głosząc swe piękne hasło „odrzucenia metody rozstrzygania sporów międzynarodowych siłą fizyczną" zwraca się ze swymi zarzutami pod niewłaściwym adresem.

P. Kurlandzka zdaje się nie wiedzieć, że w chwili obecnej „polepsza" (oczywiście na gorsze) stosunki europejskie przy pomocy bomb i karabinów maszynowych nie obóz demokratyczny, do którego mam honor się zaliczać, lecz ktoś zupełnie inny: oś totalistyczna. Czy to Republika Hiszpańska bombarduje porty niemieckie i włoskie, czy też — naodwrót — niemieckie i włoskie bombowce bombardują Barcelonę i Madryt? Czy to Chińczycy najechali wyspy Nipponu, czy też — naodwrót — wojska japońskie stoją w Hankou i Kantonie? Te proste pytania stanowią, moim zdaniem, dostateczną odpowiedź na żale pani Kurlandzkiej. Wyklęcie siły fizycznej? Zgoda, proszę pani, byle się na to oś zgodziła.

Dopóki jednak tej zgody nie ma, stoi zagadnienie zupełnie inne. Nie ma mowy o „pokoju w ogóle" — pokoju, którego każdy z nas pragnie i pragnąć musi. Idzie o problem: jaki pokój? Idzie o problem: czy pokój za każdą cenę? Anarchizujący delegat na Kongresie C.G.T. we Francji dał na to wyraźną, dobitną odpowiedź: raczej niewola niż wojna. Jestem przekonany, że odpowiedź taką — pozostała ona zresztą izolowana na kongresie — mógł dać tylko ktoś, należący do narodu, który od wieków nie wie, co to znaczy niewola, żyjący w kraju, w którym od wieków to słowo straciło swe realne, bo-

lesne znaczenie. Jestem przekonany, że niema Polaka, któryby udzielił takiej odpowiedzi. Czyż to nie nasz wieszcz pisał ongi: „O wojnę ludów błagamy Cię, Panie“? Dziś nie trzeba nam „wojny ludów“ i nikt o nią w Polsce dziś Boga nie błaga, ale pamiętamy jeszcze dostatecznie te czasy, by nie ulec pięknemu hasłu. „Raczej niewola niż wojna“. Zdaje mi się, że hasło Polski, hasło demokracji polskiej w szczególności, może być jedno jedyne: ani niewola, ani wojna, ale jeśli już postawi się nas przed wyborem, to będziemy się bić do ostatniego w obronie wolności.

Skoro stajemy na stanowisku: ani wojna ani niewola, musimy postawić sobie pytanie: jak obronić wolność, a uniknąć wojny. Odpowiedź jest i może być tylko jedna: przeciwstawiając karabinom maszynowym i bombom agresorów zwarty front porozumienia wszystkich, znajdujących się na kolejnych, dalszych miejscach osiowej ekspansji. Przeciwstawiając karabinom maszynowym osi ilość karabinów maszynowych i zdecydowanych do ich obsłużenia ludzi o tyle większą, by uruchomienie tych karabinów stało się dla dyktatorów ryzykiem zbyt wielkim. To jest jedyna droga do celu. Zapewnia ona pokój, o ile wogóle można pokój zapewnić przy istnieniu faszystowskich dyktatur, a na wypadek, gdyby te dyktatury zdecydowały się przecież rozpętać wojnę, zapewnia przynajmniej maksymalne szanse, że z wojny wyjdzie zwycięsko wolność a nie tyrania, że nad światem nie zapanuje Imperium Germanicum!

Istnieje droga inna: rzucania osi jednej ofiary po drugiej, przedwczoraj Abisynii, wczoraj Czechosłowacji, dzisiaj Hiszpanii i Chin. Nie ma to oczywiście nic wspólnego z pacyfizmem: wojna przecież trwa cały czas, tylko daleko od nas. Niema też nic wspólnego z polityką, bo kiedy wreszcie kolej przyjdzie na tych, którzy dziś cieszą się, że „ich ominęło“—będą oni w sytuacji o wiele cięższej, niż byli n.p. dziś. Jest to jednak droga niezwykle wygodna dla osi, bo pozwala jej na stopniowy podbój pozycji, których tak nigdyby nie zdobyła a które pozwolą jej w pewnej — niezbyt znowu dalekiej przyszłości — rozpętać nową wojnę na światową skalę. Tej polityki bronią niektóre — rządzące niestety n. p. w Anglii — kliki wielkokapitalistyczne, kierowane ślepą nienawiścią do wszystkiego co ogranicza ich możliwości wyzysku i niemniej ślepym uwielbieniem dla tych, którzy umieją lud „brać za pysk“. Te właśnie kliki określiłem jako „obłudnych pacyfistów“.

Dlaczego właśnie tak? Bardzo poprostu. Bo to przecież w imię „pokoju“ p.p. Chamberlain i Daladier lecieli montować pakt czterech w Monachium (że pokój, o wiele trwalszy pokój można było osiągnąć zupełnie inną drogą, to wykazał w londyńskiej Izbie Gmin chociażby Duff Cooper — i dlatego właśnie zaawansował odrazu na podżegacza wojennego w „Völkische Beobachterach“ całego świata). Bo to przecież w imię „pokoju“ próbuje się wprowadzić cenzurę we Francji i Anglii, by nie narażać na obrazę pewnych, zaprzyjaźnionych, wysokich osobistości. ...To przecież w imię „pokoju“ próbuje się zdławić Republikę Hiszpańską, której właśnie teraz przesyła pozdrowienie Mahatma Gandhi, bardziej chyba kompetentny w sprawach pacyfizmu od Mr. Chamberlaina. Oczywista jest to pacyfizm obłudny, i to wyraźnie zaznaczyłem.

Dlaczego jednak zachowuję to określenie? Dlatego, bo prawdziwi „pacyfiści integralni“ typu, chociażby, starego, czcigodnego Lansbury bynajmniej nie odżegnują się od tego obłudnego pacyfizmu. Dają się brać na jego lep. Czyż to nie sam Lansbury błogosławił premiera na drogę, kiedy ten leciał do Monachium? Czy to nie „Independent Labour Party“, jedyna na ławach opozycji, broniła najbardziej reakcyjnego rządu, jaki od kilkudziesięciu lat rządził Wielką Brytanią? Czy to nie francuscy „pacyfiści integralni“ ze związku nauczycieli chociażby przychodzą z pomocą rządowi Daladier, który zdradził swą większość i szuka dziś oparcia u faszystów de la Rocque‘a i Doriota? Jeśli tym wszystkim panom wolno brać na serio „pacyfizm monachijski“, to wolno i mnie określić pp. Daladiera i Chamberlaina, jako „obłudnych pacyfistów“. I wolno pod adresem ich powiedzieć: wasz „pacyfizm“ to nie obrona pokoju, ale przygotowanie wojny, wasz „pacyfizm“ to nie przejaw humanitaryzmu ale obrona anty-humanitarnego, anty-ludzkiego faszyzmu.

Uczciwym zaś „pacyfistom integralnym“ typu Lansbury i Delmas, którzy, właśnie w odróżnieniu od Gandhiego, również przecież pacyfisty, dają się brać na lep chamberlainizmu, wolno mi powiedzieć: dajecie się używać za narzędzie przygotowania wojny światowej i obrony faszyzmu. Narzędzie nieświadome swej roli, narzędzie o bardzo szlachetnych intencjach, ale nie mniej narzędzie, używane do bardzo paskudnych celów.

Dlatego uważam, że demokracja polska powinna jaknajostrzej zwalczać tendencje, które, pod jaknajbardziej pięknymi, lewymi, werbalnie radykalnymi hasłami chciałyby zamazywać w świadomości nas wszystkich podstawowe fakty rzeczywistości europejskiej 1938 r. Oczywiście — zwalczać, to nie znaczy bynajmniej, posyłać do kryminału. P. Kurlandzka może być pod tym względem spokojna. Zwalczać, znaczy u mnie w tym wypadku: wyjaśnić ich anty-demokratyczną treść i nie dopuścić, aby się rozwijały na terenie demokracji.

To wszystko. Co do sprostowań faktycznych p. Kurlandzkiej, to przyzna ona chyba, że pacyfizm „czysty“ jako ruch masowy — a o to mi chodziło — rozwinął się w okresie powojennym. Co się tyczy perspektyw „Independent Labour Party“, nie myślę sprzeczać się o nie z p. Kurlandzką. Pozwolę sobie wskazać, że filochamberlainowska polityka Maxtona spotkała się ze znacznym oporem właśnie członków tego stronnictwa, co ujawniło się wyraźnie w czasie ostatniego posiedzenia jego rady naczelnej.

Roman Lang.

...Kasty mające własność są zanadto samolubne, zmysłowe, próżniackie, aby nabywać prawdziwej oświaty i zanadto im dobrze z tym, że inni na nich pracują, aby dozwolili ludziom rozwinąć się umysłowo...

EDWARD DEMBOWSKI

LISTY DO REDAKCJI

Od Zarządu Zrzeszenia Prawników Socjalistów w Polsce otrzymujemy komunikat, z którego dajemy wyjątki najistotniejsze:

„Gdy zdawać się mogło, że epidemie masowego barbarzyństwa wygasły już w Europie ze szczętem, jak wygasły w niej epidemie azjatyckiej dżumy, gdy wspomnienia dni Inkwizycji i Nocy św. Bartłomieja stały się wspomnieniami hańby i upadku, gdy zdawało się, że armia dwudziestu pięciu milionów ofiar Wielkiej Wojny — jak wielka Armia Zbawienia — stać będzie przez wieki na straży europejskiego pokoju, prawa i sprawiedliwości — rozgrywają się w w Niemczech na oczach całego świata igrzyska, które przyćmiewają wszystkie circenses okrucieństwa i siły przed prawem".

„Pogwałcono prawo, obalono naczelny dogmat sprawiedliwości karząc za zbrodnię żydowskiego zamachowca tysiące i setki tysięcy niewinnych ludzi, czyniąc tysiące i setki tysięcy bezbronnych ofiar zakładnikami jednego wyrostka, skazując jednako mężów, kobiety i dzieci na śmierć, nędzę i poniewierkę!"

„Krwi Polaków, którą spłynęła Chełmszczyzna i Lubelszczyzna, łzom dzieci bitych we Wrześni, martyrologii naszej, która poznała niemoc bezbronności i przemoc krzywdy, tradycji naszej, która nie uznawała walki prócz rycerskiej — jesteśmy winni odpowiedź.

Odpowiedź nasza brzmi: potępiamy!"

KSIĄŻKI NADESŁANE

Ludwik Landau: Gospodarka światowa. Produkcja i dochód społeczny w liczbach. Z przedmową **Ludwika Krzywickiego.** Warszawa, 1939. Instytut Gospodarstwa Społecznego.

Jerzy Pietrkiewicz: Wiersze i Poematy. Okładkę projektował **Włodzimierz Łukasik.** Warszawa 1938. Wydawnictwo Prosto z mostu.

S. Babad: Nowe oblicze Polski. Lwów 1939. Wydawnictwo „Or".

Jakub Bleiberg: Typy humanizmu. Warszawa 1938. Odbitka z miesięcznika „Wiedza i Życie".

OD WYDAWNICTWA

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ UBIEGŁY PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26 630

REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—. w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 5564 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.